Nr 41. Warszawa, dnia 27 Września (9 Października) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesiecznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PRZYJAŹŃ RUMUŃSKA

Król Rumunów corocznie odwiedza dwór wiedeński. W roku bieżącym przyjazd jego miał być wywzajemnieniem wizyty niezwykłej, jaką mu złożył w Bukareszcie cesarz Franciszek Józef. Król wraz z małżonką swoją nawiedził sędziwego monarchę d. 28 z. m. w Peszcie. Podczas dwudniowego pobytu d. 29 z. m. spożyto uroczysty obiad. Miał on już swoją legendę, zanim stół do niego nakryto. Dzienniki węgierskie i niemiecko-austryackie zapowiadały w toaście monarchy węgiersko-przedlitawskiego słowo „przymierze" — i oczywiście, zaczęły już na ten temat układać waryacye i snuć z niego fantazye; posunęły się nawet tak daleko, iż wróżyły już zmianę w układzie potęg europejskich. Ponieważ, jak wszystkim, a przed innymi dziennikarzom, dobrze wiadomo, Rudini nie ma wielkiego nabożeństwa do przymierza potrójnego i radby się z niego wycofać: pozostanie zatem w tryadzie pusto miejsce, i to miejsce właśnie zajmie Rumunia, przez dziennikarzy na mocarstwo, wprawdzie jeszcze niewielkie, ale z wielkiemi już współrzędne, pasowana. Tylko czekać jak się piękna Italia wysunie zupełnie z objęć północy i odda z ciałem i duszą sojuszowi francuskiemu. Ponieważ miłość z Niemcami i Austryą umówiona jest tylko do pewnego terminu, a termin ten za lat kilka najwyżej upływa: dziś więc już czas jest myśleć o nowym układzie. Myślą też dziennikarze i atramentu nie żałują.

Jest to nieużyteczne dla nikogo, zabawne chyba tylko dla czytelników pism lubiących „sensacye," czernienie papieru. Prawda o Włochach występujących z przymierza tyle jest warta, co prawda o Rumunii do niego wchodzącej. Włochy, jeżeli mogą mieć jaki interes międzynarodowy, obliczony na utrzymanie równowagi pokojowej do czasu wojny, która mniej więcej wszystkich powytrąca ze spoczynku nadzieją zysku lub obawą straty— lepszego nie znajdą nigdzie, niż w przymierzu z Niemcami. Związawszy się na mocy dwu osobnych aktów z każdym z dwóch sprzymierzeńców, piękna Italia daleko wyżej ceni sobie węzły z Niemcami, niż z Habsburgią. Doświadczenie dziejowe przekonało ją już raz świetną wymową wypadków o pożyteczności przyjaźni niemiecko-włoskiej; rachuby polityczne na przyszłość pozwalają jej również Niemcy uważać za głównego, istotnego sprzymierzeńca, Austro-Węgry tylko za dodatkowego, i to jedynie na czas pokoju. Gdy nadciągnie burza, przymierze potrójne rozpaść się może: na jawne współdziałanie Niemiec z Austryą i tajemną zmowę Niemiec z Włochami przeciwko Austryi. Dopóki monarchia habsburska ma na swojem terytoryum narodowość włoską, dopóty i jej związanie się z królestwem włoskiem charakter uprzejmości raczej, niż przyjaźni dźwigać na sobie będzie. Niech tylko wojna wybuchnie, a irredenta włoska ogarnie i sam rząd. Również od strony Francyi, gdzie jest przecież Nizza przynajmniej do odzyskania, związek z Niemcami zapewnia Włochom stanowisko zaczepne, a nietylko odporne, w sposób tak nęcący, że żaden polityk włoski nie odważy się go porzucić. Kleszcze tedy nadziei popartych rachunkiem trzymają Włochy w przymierzu z Niemcami.

Wprost przeciwnie: nic nie skuwa losów Rumunii z potęgą austro-węgierską. W jednym tylko wypadku, mianowicie, gdyby się ponowiły zamysły i czyny lat 1876—8, gdyby Rosya z neutralności Rumunii skorzystać chciała dla rozwiązania kwestyi wschodniej w sposób i dla Rumunów szkodliwy i dla Austro-Węgier groźny — konieczność mogłaby zapędzić politykę rumuńską pod skrzydła Wiednia i Pesztu. Zresztą, w stosunkach, nie osobistych, ale rzeczowych, przedmiotowych — jedynie poważnych i ważnych w XIX w., powtarza się to samo, co tamuje rzeczywiste zczepienie się potęg międzynarodowych Austro-Węgier i Włoch — a powtarza się tu na wyższym jeszcze stopniu. Pod panowaniem habsburskiem znajduje się w królestwie węgierskiem 2,800,000 Rumunów, dla których Węgrzy nie są przecież ani czułymi braćmi, ani sprawiedliwymi włodarzami, ani nawet znośnymi sąsiadami. Ciemne, niewolnicze Wieki Średnie lepszą dawały narodowości rumuńskiej wolność, niż światła, postępowa swobodami kwitnąca Nowożytność. Los Rumunów pomimo historycznych zaręczeń i urządzeń nie jest wesołym: opozycya w sejmie pesztońskim, jeśli milczy, to albo ma kaganiec na ustach, albo widzi beznadziejność znojów i nie chce się nużyć bez skutku.

Ten los braci w zaborze węgierskim porusza serca i wyobraźnię rumuńskie. Romano-dak dostaje niekiedy dreszczów i drgawek w całem ciele. Niedawno, kilka lat temu, sam król był świadkiem manifestacyi, która do okien jego pałacu w Bukareszcie buchnęła — i z wielkim tylko trudem opanować się dała. O trzech milionach od politycznego obcowania odciętych nie zapomina się łatwo, gdy się ma w narodowo-politycznem zespoleniu swojem tylko półszosta miliona. Niemałe szczęście czy umiejętność musi mieć król Karol, gdy on, Hohenzoller, cudzoziemiec, i do tego Niemiec, nie przestaje być popularnym, choć prąd ku Siedmiogrodowi, o ile może, tamuje. Zachęcają go do tego Niemcy, wywiązując się z obowiązków względem sprzymierzeńca wiedeńsko-peszteńskiego. Starczy tej dobroci i tej su-

mienności tylko na czas pokoju; w wojnie natura społeczna Rumunów odzyska swe prawa: przedstawiciele jednej narodowości wyciągną ku sobie serca i ręce po przez Karpaty. Nie, królestwo rumuńskie nie jest dla Austryi kandydatem na sprzymierzeńca: nie jej nie da na wypadek niebezpieczeństwa, może tylko zabrać. Gawędy o przymierzu — to bajki, prawione dzieciom.

Tydzień polityczny. W Atenach skończyło się na tem, co odrazu wskazywała konieczność. Izba bez głosowania przyjęła d. 30 z. m. preliminarya pokojowe. Okrzyk „wojna" był tylko reakcyą rozżalonych serc. Konieczność także przyniosła *votum* nieufności dla Ralli'ego, który ją wyraźnie wywołał. Nie był on nie winien, że warunki narzucono twarde, ale — za jego rządów je narzucono — i to wystarczyło. Król powołał Zaimisa, jednego z młodych polityków. Delyanis daremnie się spodziewał: Jerzy I nie mógł mu zapomnieć słomianego ognia przed wojną; byłego „niezbędnego" opuściły już dwie trzecie jego stronnictwa. Izba, przyjąwszy preliminarya milczeniem, zajmuje się teraz skarbowością, kontrolą, rozpuszczeniem armii — sprawami bieżącemi, zwalonemi na nią przez klęskę. Do Stambułu wyjechał już gen. Maurocordato dla zawarcia ostatecznego pokoju.

Na Krecie rozboje, anarchia — błogosławieństwa rządu admiralskiego. Sułtan nie myśli o samorządzie, Europie nie pilno, a przy każdej sposobności potajemnie sprowadza nowe wojska. Admirałowie opierają się i w drobnych wypadkach tamują.

Królowa Krystyna zaraz po powrocie odprawiła tymczasowe ministeryum Azcarragi. Jedyny człowiek wybitny, kierunku umiarkowanie wolnomyślnego, Sagasta, po raz piąty w swem życiu objął ster rządu. Ma już gabinet utworzony. Woodford żąda dla Kuby takiej swobody, jaką ma Kanada wobec Anglii.

W Wiedniu minister Biliński przedstawił Izbie budżet na r. 1898. Prawica wyłoniła z siebie komisyę wykonawczą, która ma ułożyć poszczególne stosunki między odłamami i ogólny stosunek do rządu. Czesi na zebraniu swoich mężów zaufania w d. 30 z. m. w Pradze, warując sobie prawa historyczne, przyjęli program adresu większości, zalecili wyraźnie równouprawnienie językowe i pozwolili przedstawicielom w Radzie państwa popierać w granicach tych praw, żądań i zastrzeżeń, zarówno rząd, jak prawicę. O uporządkowaniu hasającej swobody słowa — niema jeszcze mowy. Dipauli, ze stronnictwa katolickiego, ułożył zasady ogólne prawa o używaniu języków narodowych w krajach koronnych. Wsteczniczy projekt szkoły Ebenhocha i opór Słoweńców i Rusinów przeciwko ujednostajnieniu prawodawstwa językowego — zachmurzają odrazu zgodę wewnętrzną w prawicy.

W Peszcie sejm uchwalił dla króla podziękowanie za posągi mężów narodowych, które Franciszek Józef z własnej szkatuły wznieść w stolicy nakazał.

We Francyi dziewięciu Panamczyków stoi pod sądem. Izba zbiera się za dwa tygodnie. Ks. Ludwik Napoleon zadaje szyku politycznego w Paryżu.

W Niemczech nowy zarządca marynarki, Tirpitz, przestaje budować małe awizai budować będzie tylko pościgowce większe i mniejsze—i oczywiście, jak jego poprzednicy, pancerniki. Żąda 50 mil. marek obecnie, 60 w przyszłości co rok.

Cesarz Wilhelm zwolna umarza konieczną reformę procedury karnej dla wojska, choć ks. Hohenlohe dał był sejmowi słowo, że procedura ta będzie zmieniona.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z TAJEMNIC WYZYSKU.

Jeżeli coś może być najohydniejszego w stosunkach społeczno-narodowościowych, to nienawiść rasowa. Sieje ona swoje ziarno plenne i zabójcze nietylko na niwie własnej, lecz sięga daleko po za jej miedzę, ogarnia zuchwale cudze łany i na nich gospodarkę rozpościera. Taka nienawiść żywiołowa, wyładowująca swoją energię w formie zorganizowanej, na kresach wschodnich państwa niemieckiego nazywa się hakatyzmem. Ale u nas zaiste trudno ją nazwać, bo to, co Niemcy robią tutaj, przechodzi wszelkie pojęcie i grozą przytłacza umysł.

Na mocy faktów wiarogodnych, pochodzących bezpośrednio ze źródła, postaramy się odsłonić tajemnicę wyzysku. W Żyrardowie przedstawicielem wobec rządu pierwszorzędnej przędzalni płótna, zatrudniającej 12,000 robotników, jest Niemiec, poddany rosyjski, człowiek zniedołężniały, niemal bezwładny, chwiejny, nieposiadający zdania własnego. Jeżeli pokrzywdzony udaje się do niego po sprawiedliwość, źle na tem wyjść może. Taki pan dyrektor, tarcza przedsiębiorstwa wobec prawa, będąc synekurzystą (pensya roczna 20,000 rs.), jednocześnie uprawia nepotyzm: przyjął do fabryki młodego siostrzeńca, dał mu pensyi kilka tysięcy rubli i zarazem władzę nad szkołami. Zadanie to zrozumiał on w ten sposób, że należy nauczycielki prześladować, o ile się da, najróżnorodniejszymi sposobami. Przychodzi mu to łatwo, bo nie mając ani wykształcenia, ani delikatności, walczy jedyną bronią: brutalnością oraz najpospolitszym środkiem — wyzyskiem.

Doli tych pracownic warto się bliżej przyjrzeć. Przełożona ochron, Niemka, bez wykształcenia, bez żadnej inteligencyi, posiada władzę nieograniczoną, szczególnie nad Polkami, które traktuje i wyzyskuje jak niewolnice własne. „Trzeba rzeczywiście nie posiadać wcale godności — pisze do nas jedna z nauczycielek prywatnych — lub też strasznie pożądać tego kawałka chleba i nie módz go gdzieindziej znaleźć, ażeby z tą kobietą wytrzymać."

Oto jej czyny: Od chorej na zapalenie płuc nauczycielki wymaga, ażeby najęła zastępczynię, pomimo że są oczekujące na posadę kandydatki płatne, które mogłyby wybornie zastąpić chorą. Kto chce do pewnego stopnia ugłaskać przełożoną, zyskać jej względy i ustępstwa, musi się opłacać robotami (wyszywaniem) tudzież wszelkimi artykułami żywności (cukier, konfitury itp.). Te nauczycielki, które nie chcą się uginać lub okupywać, są niemiłosiernie prześladowane, bądź bezpośrednio przez zwierzchniczkę, bądź drogami ubocznemi za pomocą intryg wszelakich.

U podnóża przemysłu wielkiego, opartego na ramionach i mózgach ludzkich, krążą zazwyczaj gromadki pasorzytów pod mianem pracowników, szukających chciwie żeru. Oddzielają one swem stanowiskiem od zarobkodawców rzesze rzeczywistych pracowników i ko-

---

22)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Gdy spojrzymy na mapę szczegółową, znajdziemy całe południe Sachalinu upstrzone punkcikami — to są siedliska ludzkie. Można tu przecież stanąć na gruncie twardym.

Tutaj praca ciężka trochę się opłaca. Wiosna wcześniejsza. Na północ ciągną sznury łabędzi.

Biała smuga wlecze się w morzu wiorst dwie od brzegu, jak rzeka mleczna płynie i pozostawia ikrę śledzi.

Ptaki gwiżdżą i śpiewają w tajdze.

Przecież jest tu jakieś życie, słońce, światło.

To są obrazy Sachalinu.

Tutaj powietrze przepełnione ciężkiemi westchnieniami. Tu w nocnym głosie ptaka słychać jęk. Tutaj wiele krwi przelali ci nieszczęśliwi, którzy zarzynają się za pieniądze.

Każdy kąt budzi straszne wspomnienia.

Wszystko oddycha cierpieniem. Dużo tu było występku i pracy.

Wszystko trzeba tutaj brać przemocą. Grunt sachaliński nic nie rodzi, jeżeli nie jest skropiony potem i łzami.

W głębi Sachalinu spoczywa mnóstwo bogactw ukrytych. Olbrzymie pokłady węgla kamiennego, nafta, prawdopodobnie i żelazo. Mówią, że jest także złoto. Ale Sachalin zazdrośnie strzeże swoich bogactw, mocno je ukrył i trzyma.

Drogę przerywa tajga niedostępna, utopią śmiałka trzęsawiska tundry. Żelazem i ogniem człowiek musi tu torować sobie drogę, potem, krwią i łzami użyźniać glebę, połowę życia poświęcać na to, ażeby drugą połowę przeżyć choć trochę znośnie.

Oto jaka jest ta wyspa-więzienie.

Natura stworzyła ją w gniewie, dała więzienie.

Trudno sobie wyobrazić lepsze ściany więzienne, niż cieśniny Tatarską i Laperouse'a.

Prawda, skazańcy uciekają i przez jedną i przez drugą. Ale czyż jest na świecie taka ściana więzienna, przez którą nie wydostałby się człowiek, ceniący więcej swobodę, niż życie?

Jednak natura była zbyt surowa, tworząc tę wyspę — turmę.

Iść podczas słonecznej pogody brzegiem wyspy znienawidzonej i widzieć wyraźnie przez cieśninę brzeg przeciwległy, który kusi i pociąga, ukazując z dala swoje zarysy niebieskie. Zdawać sobie sprawę, że to tak blizkie, a tak niedoścignione...

Jakąż męczarnię stworzyła sama przyroda!

Praca przymusowa.

Pierwsze wrażenia.

Pierwsze wrażenie zawsze jest najsilniejsze.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy wczesnym rankiem na kołyszącym się statku parowym przybijałem do przystani posterunku Korsakowskiego.

Na brzegu kręcili się ludzie

Jeszcze chwila i oto pogrążę się w to morze, które z takiem męczącem upragnieniem staram się poznać.

Morze czego?

Dziwna rzecz, z dwóch wrażeń nie mogłem w żaden sposób ochłonąć w ciągu trzech i pół miesięcy, które spędziłem śród otoczenia więziennego. Dwa wrażenia przygniatały i gnębiły mię, ołowiem leżały na duszy. Gnębią i przygniatają jeszcze dotychczas.

Jedno dotyczy właściwie podróży na Sachalin.

W żaden sposób nie mogłem pozbyć się porównania. Parowiec nasz zdawał mi się wielkim statkiem, używanym zwykle w miastach nadmorskich do wywożenia

rzystając z placówek mocnych, zdobytych służalstwem, sprytem i podłością, prowadzą na własną rękę wyzysk u dołu, bezwzględny i okrutny. Wyobraźmy sobie teraz, że taką formę wyzysku podsyca nienawiść płomienna, wzmocniona i czynnie poparta siłą stanowiska.

Taki właśnie gwałt uprawia i taką nienawiść płomienną względem pracownic-Polek żywi owa przełożona ochron w Żyrardowie. Tak np. chorej na suchoty nauczycielce, pozostającej w domu z pozwolenia zwierzchnika wyższego, posyła ona swoją robotę prywatną do szycia, utrzymując, że „chora darmo pieniędzy brać nie powinna.“ Nieszczęśliwa suchotnica, przyciśnięta tą straszną ostatecznością, musiała wyszywać firanki i bieliznę swojej przełożonej, pomimo wyczerpania sił. Stanowisko tej pani, faworyzowanej przez dyrekcyę, jest właściwie synekurą. Na jej osobiste potrzeby i rozkazy oddana cała służba ochrony. Od jej kaprysów i intryg zależą losy i stanowisko pracownic. Pewna nauczycielka szkoły froeblowskiej skutkiem ciężkiej choroby musiała wyjechać na wypoczynek, za wiedzą i urlopem, otrzymanym od samego właściciela fabryki, p. D. Po trzech miesiącach, czując się zdrowszą, powróciła i przyszła na służbę. Wówczas przełożona oznajmiła, że może ona jeszcze dwa tygodnie korzystać z urlopu. Gdy następnie jednak zgłosiła się po płacę, potrącono jej należność za dwa tygodnie...

Ochrona liczy około 2,500 dzieci, 20 nauczycielek i 13 kobiet, pracujących w szwalni; a więc jest to zakład jeden z największych w kraju. Losy zaś jego i kierunek zależą od kobiety, która dobro publiczne poświęca własnym kaprysom i interesom. W stosunku do liczby dziatwy jest zbyt mało nauczycielek: w pięciu szkołach elementarnych ochrony przypada 120 dzieci na jedną nauczycielkę, a więc rzetelny kierunek tak znacznej liczby przez jedną osobę, chociażby najzdolniejszą i najsumienniejszą, jest niemożliwy. Pięć szkół elementarnych fabrycznych z braku odpowiednich lokalów umieszczono w gmachu ochrony. Wszyscy nauczyciele i nauczycielki mają jednakowe kwalifikacye, a pomimo to uposażenie odmienne. Nauczycielki w ochronach pobierają płacę mniejszą; tym sposobem zarząd na każdej z nich robi po kilka rubli miesięcznie oszczędności. W ochronie są one obecnie płatne po 33 rs. miesięcznie, gdy inne, przy takiej samej ilości godzin i takim samym rodzaju pracy, otrzymują po 38 rs. Ponieważ w roku bieżącym lekcye zaczęły się dopiero 16 sierpnia, więc nauczycielkom wypłacono tylko po 28 rs., czyli zaoszczędzono w tym miesiącu jeszcze po 5 rs. na każdej. Nauczycielki z patentem gimnazyalnym, niektóre zaś z medalami srebrnymi, muszą usilnie i długie czynić zabiegi, ażeby dojść do 33 rs. płacy. Zależy to od przypodobania się przełożonej, która nie mając pojęcia ani o swoim fachu — froeblowszczyznie, ani o szkołach elementarnych, nie znając wcale języków polskiego i rosyjskiego, ocenia zdolności nauczycielek i według tej oceny ustanawia skalę wynagrodzenia.

Władza tej pani sięga nawet po za granice szkoły, wgląda do życia domowego pracownic. Niektóre z nich utrzymują rodziny, ponoszą obowiązki wychowania ich członków. Jedna z nich miała przy sobie brata 12-letniego, którego posyłała do szkoły. Otóż przełożona kazała go usunąć z mieszkania, jako *mężczyznę*. Do innej przyjechał w odwiedziny siostrzeniec, uczeń 5 klasy gimnazyum. I tego przełożona kazała natychmiast odesłać. Ale natomiast jej przyjaciółka, pracująca w szwalni, ma prawo trzymać u siebie po parę miesięcy dwu synów: 20 i 18-letniego. Tak więc te nieszczęśliwe nauczycielki, które nie są Niemkami i przyjaciółkami przełożonej, nie mogą rozporządzać swem mieszkaniem, chociaż ono jest częścią pensyi, a więc powinno być taką własnością pracownicy, jak kawałek chleba lub mięsa, którymi wolno się dzielić.

Absolutyzm władzy przełożonej nie na tem się kończy. Działając zgodnie z programem całego steru zakładów żyrardowskich i posługując się intrygami, ma ona prawo usuwać najuczciwsze i najzdolniejsze nauczycielki bez żadnej przyczyny, i to z zastosowaniem terroru. Jedną z nich, po *10-ciu i pół* latach pracy, wydaloną za to, że nie umiała się płaszczyć i upokarzać, usunięto natychmiast o 6-ej rano z mieszkania za przyjęcie koleżanki pozbawionej chleba, która najsłuszniej zelżyła zwierzchniczkę. Wieczorem zaś do pomocnicy przełożonej przyszło zawiadomienie od dyrektora fabryki, że jeżeli ktokolwiek waży się przyjąć na noc nauczycielkę wydaloną, nazajutrz straci miejsce. Wyrzucono więc ją po prostu na ulicę, w nocy, nie dano robotników do zapakowania rzeczy, bo według przepisów tych zakładów, usunięty pracownik musi sam sobie radzić jak chce. Dodajmy, że jedna z nauczycielek, doprowadzona do ostateczności, plunęła tej przełożonej w twarz publicznie i to jeszcze zwierzchniczkę utrwaliło na stanowisku, to jej dało większą siłę do czynienia bezprawia i gwałtu.

Mamy w rozporządzeniu materyał jeszcze dość obfity i wiarogodny, malujący w całej pełni organizacyę wyzysku w zakładach żyrardowskich. Przy sposobności wrócimy do tego ważnego przedmiotu.

LISTY PETERSBURSKIE.

Zapis skazańca. — Obrona prawna ludu — Zbiornik nieczystości. — „Faryzeusze wszechrosyjscy.“— Przeszłość i teraźniejszość. — Sprawy szkolne. — *Birż. Wied.* o zajściu w Szawlach. — Uproszczenie programu gimnazyalnego.

Bywają dziwne charaktery i dusze, dziwna miłość dla społeczeństwa własnego. pomimo że ono wzgardziło niemi, wykluczyło je za pośrednictwem swojej instytucyi, „sprawiedliwości.“ Sprawiedliwość ta, rządząca się tylko kodeksem, widzi czyn i pozory, nie widzi duszy charakteru i serca; nie wi-

---

odpadków w głąb morza; te zaś zdaleka szare sachalińskie „posterunki“ i kolonie wyglądały jak olbrzymie stosy.

Ciężko mi się zrobiło na duszy, gdym pomyślał, że tam, pod pokładem, na spodzie okrętu, ostatecznie rozkładają się wszystkie pierwiastki człowieczeństwa, które jeszcze zostały śród tych „odpadków.“

Drugie wrażenie dotyczy Sachalinu.

Na pierwszym kroku, gdym ujrzał tę smutną pracę przymusową, to zdejmowanie czapek, zdawało mi się, że jestem przeniesiony w przeszłość o 50 lat; że dokoła mnie panuje prawo pańszczyźniane.

Im bardziej poznawałem Sachalin, tem głębiej zasiadało w mojej duszy takie wrażenie, a to pierwsze porównanie zdawało mi się prawdziwszem.

Taka sama praca przymusowa, ci sami ludzie, pozbawieni wszelkich praw, kary poniżające, takież porządki, jak przed reformą, bez końca wędrówka wszelkich spraw w papierach, takie same poglądy na człowieka, jako na „inwentarz żywy,“ takie rozporządzanie się nim „według uznania,“ „wspólne pożycie,“ jak związki małżeńskie, za czasów pańszczyzny zawierane, nie według życzenia i sympatyi, lecz według rozkazu; zapatrywania się wielu na katorżnika, jak na chłopa przed uwłaszczeniem — wszystko aż do „strony dekoracyjnej“ pańszczyzny — obowiązkowego „czapkowania“ — wszystko to tworzyło obraz wskrzeszonej przeszłości.

Jak ciężko oddychać, jak ciężko, gdybyście wiedzieli!

* * *

Pragnienie spełnione.

Przeszedłszy przystań, znalazłem się w tłumie skazańców.

Na brzegu robota.

Siedemdziesięciu katorżników, jedni w ubiorach aresztanckich, inni we własnych, spuszczali na morze statek w celu wyładowania okrętu.

Śpiewali „Dubinuszkę,“ przy której odgłosie statek zsuwał się powoli z brzegu.

Obok niego na drugim stał „zaśpiewacz,“ chłop w podartej kurtce aresztanckiej, rozczochrany, nieszczęśliwy, litość wzbudzający. Zużytym, drżącym tenorem ciągnął piosnkę przewrotną i cyniczną. Cynizm ten dochodził do wirtuozostwa i był obliczony na to, ażeby rozśmieszać. Ale nikt się nie śmiał.

Słuchano obojętnie, a raczej wcale nie słuchano. Śpiewano i wykrzykiwano „och“ jakoś leniwie, niechętnie, jak gdyby i to była robota przymusowa.

Potem przyzwyczaiłem się do tego; ale pierwsze wrażenie na widok pracy przymusowej było pognębiające...

Wyciągano niewód, ciężko, leniwie, niechętnie.

Poruszało się tam mnóstwo ryb, wiele gatunków, ale wszystkie tu niejadalne.

Ludzie stali dokoła niewodu, a dwu, czy trzech oddzielało rybę zdatną do jedzenia od niezdatnej, a czynili to tak, jak gdyby kamienie podnosili.

Od przystani do posterunku, wzdłuż brzegu morskiego, spotykałem osiedleńców, którzy machinalnie, jakoś mimowoli zdejmowali czapki przede mną.

Ręka mi mdlała od ciągłego sięgania do kapelusza; miałem szczere uznanie dla tych „zuchwałych,“ którzy nie zaszczycali mojej osoby owym honorem katorżnym.

Osiedleńcy chodzili, jak muchy senne. Wałęsali się bez celu i potrzeby.

— Parowiec przyszedł. Przecież są na nim ludzie. Tam, na twarzach robotników malował się jakiś ciężar moralny; tutaj, w rysach nowych przybyszów odzwierciadlało się straszne, przygnębiające wyczerpanie; taki stan, kiedy człowiek nie wie, co z sobą zrobić, czem się zaprzątnąć; śledzi wszystko, co się na oczy nawinie: i muchę dużą, i człowieka, i psa.

Patrzy, i gdy z oczu dany przedmiot zgubi, znowu na twarz mu występuje to wyczerpanie.

Piosnka?..

dzi dramatów, rozgrywających się wewnątrz tych istot potępionych i wykluczonych. Dlatego popełnia omyłki, których niczem zmazać nie można. Wyobraźmy sobie jednak, co to za niepospolita dusza być musi, która padłszy ofiarą omyłki, nie złorzeczy swemu społeczeństwu i jego instytucyom, lecz obdarza go miłością i pomocą dla wydobycia z ciemnoty.

Przed dwudziestu pięciu laty skazano i zesłano na Syberyę włościanina Sofienkę. Zrozpaczony człowiek duszę swoją otwierał, ażeby jej czystość pokazać. Napróżno! Na usprawiedliwienie swoje miał tylko łzy i zaklęcia, gdy sąd na jego potępienie — pozory i zeznania wrogów. I poszedł biedny Sofienko „Włodzimierką“ za Ural, a z nim dobrowolnie żona i troje dzieci. Zapomniano o nim we wsi rodzinnej. Ale oto naraz, po 25 latach, spadła wieść niespodziewana. Osiedleniec umarł, ale nie umarła jego gorąca miłość dla społeczeństwa, ktoremu poświęcił swój majątek dość znaczny. Przeznaczył około stu tysięcy rubli na różne instytucye w wiosce rodzinnej; nadto ofiarował pewną sumę na stypendya dla dzieci włościańskich, ażeby chłopcy zdolniejsi mieli możność skończyć gimnazyum i uniwersytet, koniecznie wydział prawny, i zostać następnie obrońcami włościan tudzież rzecznikami ich potrzeb. Ten, który otrzyma wykształcenie za pieniądze Sofienki, powinien w ciągu dwunastu lat spłacić stypendya pracą w wiosce rodzinnej. Niezależnie od tej amortyzacyi będzie jednak pobierał pensyę z funduszu specyalnego, wynoszącego 20,000 rs., w ciągu zaś tej dwunastoletniej służby obowiązkowej będzie się kształcił na zmianę inny młodzieniec.

Sofienko odczuł tę potrzebę bezpośrednio na sobie. Brak obrońcy sumiennego przyczynił się do zesłania go na Syberyę, za winy niepopełnione. Niechże inni unikną tych smutnych omyłek.

Przez ćwierć wieku wiele się zmieniło w organizacyi sądownictwa, przeistoczyły się i poglądy, ale lud pozostaje dotychczas bez obrony światłej i sumiennej. Chłop oniemiały, przybity oskarżeniem, nie może wykazać swej niewinności i nieraz pada ofiarą pozorów, traci swobodę i prawa swoje. Zapis Sofienki jest wobec tego doniosłym faktem społecznym, który wypłynął z duszy skołatanej po ćwierćwiekowych cierpieniach, powstał z łez i bólu — zapis najbardziej chyba odczuty ze wszystkich ofiar, ponoszonych na rzecz dobra społecznego. Niechże ten przykład będzie bodźcem dla zorganizowania powszechnej obrony uczciwej i światłej spraw ludu.

Prasa polska przypomina mi trochę lud przed sądem. Dotychczas była niemą przed sądem pism rosyjskich; obecnie zaś nietylko cytuje ich obronę i oskarżenia, ale ma nawet tam w pewnej mierze swoich rzeczników, o ile przeciwnicy przebiorą miarkę. *Moskowskija Wiedomosti* otrzymały chłostę od *St. Peterb. Wiedomosti*. W artykule p. t.: „Faryzeusze wszechrosyjscy“ podały one we właściwem oświetleniu działalność i taktykę organu moskiewskiego, który ze sprawy polskiej zrobił coś w rodzaju *proffesion de foi* i przykrył się płaszczem wszechrosyjskim. *Peterb. Wied.*, widząc jego przerażenie wobec widma przeszłości burzliwej, uspakajają p. Gringmuta w ten sposób: „To były czasy, kiedy Europa zachodnia, nieprzekonana o naszej powszechnej misyi pokojowej, występowała przeciwko nam, kiedy rewolucya, konstytucya, parlamentaryzm szły na nas i były jeszcze postrachem; kiedy rozorywano państwo germańskie było jeszcze słabe wewnętrznie, a Prusy nie były tak pewne siebie, jak obecnie. Wówczas Polacy mogli myśleć, że zrzuciwszy jarzmo rosyjskie, zdobędą niezależność; podburzani zewnątrz, pijani wspomnieniami przeszłości niedawnej, powstali przeciwko gnębiącemu widmu władzy rosyjskiej, która spełniała swoje zadanie, niestety, według wymagań czasu, kiedy niepokój przenikał do nas zewnątrz, kiedy Napoleon III wywoływał powstanie śród Polaków, kiedy byliśmy surowi ze względu na groźną postawę Europy. Teraz rzecz się ma zupełnie inaczej: uwolniwszy się z pod władzy rosyjskiej, Polacy wpadliby pod panowanie niemieckie, obecnie zupełnie zorganizowane i ujawniające wielki apetyt.“

Według *Mosk. Wied.*, Polacy są potrzebni Rosyi o tyle tylko, o ile mogą być Rosyanami i o ile zdają sobie sprawę z niepowrotnego wcielenia *Przywislinja* do narodowego organizmu Rosyi. „Drugi warunek — piszą *Peterb. Wied.* — odpowiada przysłowiu „chercher midi à quatorze heures“ i jest poprostu szyderstwem: Polacy będą potrzebni *Moskowskim Wiedom.* wtedy, gdy z nich wygnany będzie wszelki duch, a pozostanie tylko skóra. W takim wypadku gotowe one przylepić do bałwana etykietę: „Rosyanin.“ Ale w takim razie ten bałwan byłby odpowiednim tylko do gabinetu osobliwości, a gazeta moskiewska tak samo mogłaby na nim napisać: Kamczadal, Chińczyk, Francuz, albo Niemiec...“

„Polacy — kończą *Peterb. Wied.* — posiadają serca gorące, które umieją kochać i nienawidzieć... Im gorętsze i szlachetniejsze to serce, tem trudniej poddaje się przemocy.“

Przytoczyliśmy te znamienne wyjątki z polemiki nie dlatego, żebyśmy przypisywali jakiekolwiek znaczenie polityczne, lecz że opinia gazet oddziaływa na usposobienia i przekonania tłumów. To są retorty, w których się wytwarzają sympatye i antypatye. *Mosk. Wied.* są taką wyborną retortą, która świetnie się przyczynia do wzmocnienia odrębności żywiołu polskiego. Masy bowiem, wrogo usposobione przez to pismo, przy zetknięciu się następnie z Polakami na polu urzędniczem lub społecznem, nie omieszkają swego antagonizmu na każdym kroku ujawniać, a to znowu wytwarza reakcyę w usposobieniu Polaków.

W chwili obecnej nagromadziło się tyle ważnych spraw szkolnych, że niepodobna ich wszystkich w jednym artykule wyczerpać. Najpierw tedy załatwić się musimy z najważniejszemi, które ściśle są związane z życiem społecznem.

Zajście w Szawlach odbiło się dość silnem echem na szpaltach niektórych dzienników nad Newą. Między innemi *Birż. Wied.* wyrażają swoje ubolewanie, ale w inny sposób, niż *Peterb. Wied.*: „Swego czasu otrzymaliśmy list z Szawel, w którym doniesiono nam, że uczniowie katoliccy opuścili nabożeństwo prawosławne w sali gimnazyalnej, że oburzony dyrektor wezwał policyę, która dzieci aresztowała. O męczeniu uczniów, wzmiankowanem przez *Peterb. Wied.*, do nas nie pisano. Natomiast mieliśmy informacyę następującą: Dyrektor, dowiedziawszy się od uczniów, że mają prawo nie uczęszczać na nabożeństwa prawosławne, pytał o to władzę naczelne, zapewne przez telegraf, i otrzymał odpowiedź, iż uczniowie mają słuszność.“ *Birż. Wied.* biorą w obronę dyrektora gimnazyum: „Uczniowie gromadzą się. Dyrektor nie wie o niczem, nikt go bowiem nie poinformował, że katolicy mogą pomijać nabożeństwo, mające charakter nietylko religijny, lecz i pań-

---

Bryczka, która mię wiezie, zwraca na główną ulicę posterunku, okrąża skleconą naprędce szopę (było to na Wielkanoc). Obok puste, zniszczone huśtawki. U wejścia, o ile można sądzić ze smutnej sylwetki — stoi „antreprener.“

Dokoła skupiony tłum osiedleńców słucha bez uśmiechu dowcipów rynkowych klowna-katorżnika, pomalowanego i ubranego w kapotę perkalową.

Z szopy rozlega się piosnka.

Fałszywie i dziko krzyczy chór śpiewaków. Zadzwoniły kajdany. Koło szopy przechodzą aresztanci z więzienia kajdanowego, pod konwojem...

Wjechałem na główną ulicę posterunku.

Na pierwszy rzut oka Korsakowsk robi dodatnie wrażenie: nic się nie widzi podobnego do „katorgi.“ Czyściutkie małe miasteczko, schludne, miłe domki urzędników, jakby się rozbiegły i z rozpędu stanęły dwoma rzędami na wzgórzu wysokiem.

Najwyżej wbiegło więzienie. Ale więzienie w Korsakowsku nie przygniata.

Parterowe, niewysokie i pomimo położenia wyniosłego, nie rzuca się w oczy, nie panuje, nie przywodzi miejscowości.

W głąb wąwozu, po obu zboczach wzgórza jakby się zsunęły pełzające po pochyłości domki.

To mieszkania osiedleńców.

Wogóle nie widać tam nic strasznego, ani ponurego. Można nawet, sądząc z pozoru, wpaść w zachwyt na widok wzorowego urządzenia. Przejeżdżając główną ulicą Korsakowska, można się uśmiechnąć i zawołać:

Wszystko to jest bardzo, bardzo miłe! Ale proszę nie spieszyć.

Sachalin — to błoto, z wierzchu pokryte szmaragdową połyskującą trawą.

Zdaje się, śliczna łąka. Ale wszedłszy na nią, można się zawalić w trzęsawisko głębokie, lepkie, wsysające, chłodne.

Nie zdążyło z ust wybiedz słowo: „miłe,“ gdy za węgłem szczęknęły kajdany.

To katorżnicy, wprzęgnięci do wozu, trzymając hołoble, ciągną nawóz.

Jakież pognębiające wrażenie robią ci ludzie, którzy spełniają zadanie konia!

Droga nasza prowadzi obok więzienia. Za kratami widać ciemne, brudne okna.

Na froncie szpital, a naprzeciwko jego okien — trupiarnia.

Szpital.

Później w Aleksandrowsku i Rozkowskiem widziałem zupełnie dobrze urządzone szpitale dla skazańców. Ale co za straszny kąt, co za okropna nora piekła Dantejskiego ten szpital w posterunku Korsakowskim!

Znam wszystkie więzienia sachalińskie, ale najsmutniejsze z nich to szpital korsakowski.

Chory na świerzbę, chorobę zaraźliwą, leży obok innego, który właściwie powinien być w oddziale chirurgicznym. Koło nich chodzi obłąkany Kirgiz, Naur-Sali.

Jak u większości chorych na umyśle skazańców sachalińskich, rodzaj jego obłąkania jest manią wielkości.

Jest to „protest ducha,“ „dobrodziejstwo choroby.“

Wyzuci z wszystkiego, pozbawieni praw nędzarze, wyobrażają sobie, iż są możnymi, w ostateczności chociaż dozorcami.

Kirgiz, Naur-Sali, jest wielkim bogaczem. Posiada niezliczone stada owiec i wielbłądów. Czerpie olbrzymie dochody, ale jest otoczony wrogami.

Ciężkie, pognębiające otoczenie sachalińskie często rozwija manię prześladowczą.

(C. d. n.).

stwowy. Duchowny rozpoczyna nabożeństwo. Naraz rozlega się hałas i uczniowie tłumnie wychodzą. Cóż to znaczy? Naturalnie, dzisiaj, zwłaszcza z daleka, rzecz wyświetla się jasno. Dzieci wiedziały o przysługującem im prawie nieasystowania nabożeństwu i skorzystania z wolnego czasu, co w żargonie gimnazyalnym nazywa się „dać nura.“ Pedagogom mogło się wydać, że to jakaś demonstracya. Uczniowie bronią swego prawa. Władze przerażone wzywają policyę, a co zaszło potem, łatwo sobie przedstawić; może wówczas właśnie rozpoczęły się „męki,“ tj. szturchańce policyi, chcącej zatrzymać dzieci, wystraszone okropnie i niezdające sobie sprawy z tego, co się dzieje.“

Słuszne jest przysłowie o niezręcznym przyjacielu. Chyba i dyrektor gimnazyum szawelskiego nie będzie rad z przyjacielskiej obrony *Birż. Wied.*, w której każde zdanie jest wyraźnem potępieniem. Dzieci wiedziały o przysługującem im prawie, a dyrektor nie wiedział! Dla nas jest całkiem zrozumiałe, dlaczego. *Birż. Wied.* podjęły się obrony takiej sprawy, której obronić niepodobna. Oto podzielają one zapatrywania i system dyrektora szawelskiego: nie uznają tolerancyi religijnej. Zdaniem pisma, nabożeństwo prawosławne, na które katolicy powinni uczęszczać, ma charakter nietylko religijny, lecz i *państwowy*. Oto źródło i pobudki obrony...

Reforma gimnazyalna weszła na porządek dzienny w postaci bardziej uchwytnej, niż dotychczas, gdyż przyniesiono rezultaty prac (w ciągu dwóch zim) komisyi specyalnej, złożonej z pedagogów doświadczonych, a nadto w czynie pierwsze kroki postawiono. Zadaniem jej było opracowanie takiego rodzaju programów szkolnych, w których rzeczy najkonieczniejsze i najpożyteczniejsze byłyby wyodrębnione od mniej ważnych i przypadkowych, z zupełnem pominięciem tego, co przy przechodzeniu kursu gimnazyalnego może być usunięto, bez zniżania poziomu wiadomości uczniów w zakresie danych przedmiotów. Dotychczas opracowano nowe programy dla języka rosyjskiego, obu starożytnych, matematyki, fizyki, historyi i geografii. Wprowadzono bardzo ważne zmiany i skrócenia. W nauce języków starożytnych na pierwszym planie postawiono czytanie klasyków i położono nacisk na dokładne pojmowanie tekstu tudzież dobre jego oddanie w języku wykładowym. Extemporalia zastąpiono ćwiczeniami piśmiennemi przy pomocy różnych podręczników i pod czynnym kierunkiem nauczycieli. Z kursu matematyki wykreślono pewne szczegóły, obarczające pamięć i gmatwające rzecz. Zalecono przytem uczenie się lekcyi w klasach, zwłaszcza niższych. W kursie fizyki uproszczono to, co dotyczy teoryi ogólnej zjawisk, jako rzeczy mało dostępne dla uczniów, wreszcie zalecono pewne formuły, ułatwiające znacznie przyswojenie przedmiotu. Program nauk historyi i geografii skrócono, aby uniknąć nadmiernego obarczania pamięci uczniów szczegółami zbytecznymi i drobiazgowymi. Udoskonalono kurs tym sposobem, że zwrócono uwagę główną na historyę wewnętrzną narodów, historyę sztuki i instytucye polityczne. Ponieważ kurs geografii kończy się obecnie w klasie IV-ej, więc zalecono nauczycielom historyi, żeby przy powtarzaniu w klasach wyższych dziejów powszechnych i rosyjskich odnawiali w pamięci uczniów szczegóły z geografii.

Projekt powyższego programu rozpatrywany był przez rady pedagogiczne gimnazyalne, ich zaś uwagi posłużyły za materyał do pewnych udoskonaleń. Obecnie, z polecenia kuratora okręgu petersburskiego nowy program już wprowadzono w gimnazyach tamtejszych, komitet zaś naukowy zajęty jest planem rozpowszechnienia reformy w całem państwie.

Dorzucić winniśmy jedną uwagę: Postępy uczniów i nieobarczanie ich pamięci nadmiernym balastem, zależą nietylko od metody ulepszonej danego przedmiotu, lecz także od zdolności i sumienności pedagogicznej nauczyciela. Na ten warunek, zdaniem naszem niezmiernie doniosły, należałoby baczną uwagę zwrócić.

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Berlin, 29 września.

Obrady „Stowarzyszenia dla polityki społecznej.“

Donegdajszego dnia obradowało w Kolonii świetne zebranie profesorów, dyrektorów fabryk, urzędników, prezydentów izb handlowych i innych, t. zw. grubych ryb. Członkowie uczonego synodu wprawdzie od lat 25 zasilają swemi pracami nietylko Niemcy, lecz świat cały. Do najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej dotarły nazwiska Schmollera, Brentana, Herknera, Webera, Wagnera, Büchera i in. Ludzie ci od ćwierci wieku starają się na spienione bałwany morza społecznego rozlać oliwę zgody, a do waśni i rozdźwięku klas wnieść akord harmonii. Prace tej korporacyi, zwącej się „Stowarzyszeniem dla polityki społecznej,“ służą za drogowskaz rządowi, mężom stanu, politykom i partyom od lat kilkunastu. Jednem słowem, są to wszystko ludzie, którymi zębów sobie wycierać nie można. A jednak demon przewrotu opętał i tych czcigodnych przedstawicieli nauki, gdyż tych właśnie heretyków Stumm, jego poplecznicy literaccy i uwijający się około niego ministrowie biorą od kilku lat na cel swych napaści, złorzeczeń i kłamliwych zarzutów. Tegoroczny zjazd Stowarzyszenia dla dwu względów ściągnął na siebie więcej uwagi, niż w latach poprzednich. Naprzód święci ono w roku bieżącym jubileusz ćwierćwiekowej pracy, a powtóre w swych referatach i obradach poruszyło trzy najbardziej palące sprawy czasu.

Musimy kilka słów poświęcić działalności tego stowarzyszenia, gdyż, jak rzekliśmy, od niego i jego członków rozchodzą się promienie wiedzy społecznej po całym świecie. W r. 1872 zebrała się garstka uczonych i działaczów ze znakomitym prawnikiem Rudolfem Gneistem na czele, w celu utworzenia instytucyi dla wzajemnej wymiany myśli. Jeżeli przedwczoraj minister Berlepsch — wyraźnie: były pruski minister Berlepsch—miał odwagę na czele Stowarzyszenia wznieść zdrowie czwartego stanu, to przed 25-ciu laty kwestyę społeczną pomijano zupełnie, jako wrzekomy rezultat zboczenia umysłowego kilku rozgorączkowanych mózgów. Mężom nauki, którzy wówczas zadawali ton w życiu publicznem, jak Braun, Oppenheim i inni, wydawało się, iż nieograniczona wolność może zaprowadzić społeczeństwo niemieckie na tory zbawienne. A więc nie należy krępować ani lichwiarza, ani pokątnego właściciela warsztatu, który wypłaca robotnikom markami szynkowemi, nie należy ograniczać działalności lombardów lub krzyżować oszustw towarzystw akcyjnych itp. W swoim czasie Braun wygłosił gwałtowną filipikę przeciwko inspektoratom fabrycznym, dziś zaprowadzonym już przez wszystkie państwa europejskie. Gdyby wówczas zaprojektował ktoś ograniczenie pracy podrostków lub uregulowanie emigracyi, wziętoby go za nieuka lub półgłówka. „Stowarzyszenie dla polityki społecznej,“ rekrutując się po większej części z mężów liberalnych, miało odwagę podjąć się unicestwienia manczesteryzmu. Z zadania swego wywiązało się w sposób wspaniały, gdyż prawie do szczętu wytępiło przestarzałe, dziecinne, a jednocześnie okrutne poglądy tej szkoły. Jeden ze starych mohikanów nieograniczonej swobody ekonomicznej, Bamberger, wyznał w roku przeszłym, iż dał się nawrócić na wiarę swych przeciwników. Trudno zaprzeczyć, że prawodawstwo społeczne, stworzone przez Niemcy po roku 1870, było dobrodziejstwem dla tysięcy bezsilnych w życiu jednostek. „Stowarzyszenie dla polityki społecznej“ brało się do każdej kwestyi w sposób gruntowny. Całe tomy poświęcono sprawie mieszkań, przemysłowi domowemu, reformie podatków, ubezpieczeniom, sądom rozjemczym, kartelom przemysłowym itd. Niedawno pisaliśmy o ankiecie rzemieślniczej, podjętej przez stowarzyszenie i uskutecznionej w sposób prawdziwie mistrzowski. Nad tymi dziesięcioma tomami, zawierającymi źródłowy materyał w kwestyi rzemieślniczej, świat uczonych polityków i dziennikarzów nie przejdzie tak prędko do porządku dziennego. A ileż zebrano cennych wiadomości dla oświetlenia kwestyi rolnej! Nie pominięto pod tym względem najmniejszego zagadnienia, ani najgłębszego zakątka niemieckiego. Mężom tym nadał w swoim czasie jeden ze skrajnych manczesterczyków miano „socyalistów katedralnych,“ co dowodzi zupełnego niezrozumienia ich dążeń i stanowiska. Nie są oni politykami z zawodu, nie ustawiają taranów dla szturmowania do twierdz społecznych, nie układają z góry żadnego programu, z wyjątkiem tego, iż w społeczeństwie nie wszystko odbywa się podług jakiejś harmonii, że nie należy zamykać oczu na klęski życia społecznego i zdawać go na wolę boską. Przez długi czas sympatyzowali z pracą tych uczonych nawet Bismarck i rząd. Dopiero w ostatnich czasach, gdy konserwatyści dali hasło do odwrotu na całej linii, gdy junkrzy postanowili zagasić w Niemczech wszystkie światła postępu i zatkać wszelkie źródła humanitarności, gdy Stumm zamachnął się na słońce rozwoju swą motyką reakcyi, dopiero teraz zaczęto podszczuwać przeciwko niewinnym luminarzom wiedzy. Rzuconą przez reakcyę rękawicę Stowarzyszenie przyjęło z godnością. Groźby i gromy nie zaważyły na szali jego pracy i zamiarów. Że Stowarzyszenie nie myśli cofnąć się, dowodzi chociażby jego szczere stanowisko w trzech kwestyach, poruszonych na ostatnim zjeździe, a dotyczących: położenia rzemiosł w Niemczech, kredytu rolnego na wsi i stowarzyszeń zawodowych pracowników fabrycznych.

Prof. Bücher, redaktor ankiety rzemieślniczej, zdawał sprawę w pierwszym przedmiocie. Wbrew utartej opinii, obalał legendę, jakoby rzemiosło znajdowało się w ubiegłych stuleciach w stanie rozkwitu. Co jednak stare czasy dodatnio odróżnia od dzisiejszych, to niezmienność warunków bytu. Dziś rzemiosło niemieckie zawisło w powietrzu, gdyż los jego spoczął w ręku handlu. Ostatnie schronienie znalazło ono na prowincyi i wsi, gdzie używa względnej niezależności i wpływów. W miastach wielkich ster przemysłu przeszedł bezpośrednio do innych rąk. Cechy, wprowadzone obecnie drogą przymusową przez rząd niemiecki, nie zaradzą złemu i są raczej wyrazem chęci dania odczepnego, niż szczerego przekonania. Albowiem punkt wyjścia tych zmartwychwstałych instytucyj sprzeciwia się duchowi czasu i nastrojowi ekonomicznemu społeczeństwa. Prof. Bücher wyśmiał mrzonki poczciwych ideologów, chcących swemi liliputciemi groblami skierować potok rozwoju w nowe koryto.

Inny referent rozwodził się nad kredytem drobnych właścicieli ziemskich. Kredyt ten osiągnął w Niemczech taki stopień organizacyi, iż żadna okolica nie może uskarżać się na brak kapitałów. Niezmierzona sieć instytucyj obejmuje całe terytoryum państwowe i, jak zapewniał sprawozdawca, wkrótce każda wieś, a co najmniej gmina będzie miała do swej dyspozycyi własną kasę pożyczkową. Wszelkie udoskonalenia bankowe wkrótce przenikną do tych instytucyj. Już dziś panuje tam rozległy obrót wekslami. Forma pożyczek „na rachunek bieżący" rozpowszechnia się coraz silniej. Inny sprawozdawca opowiadał, iż 80 tys. rolników otrzymało w przeszłym roku 117 mil. marek tytułem pożyczki od 546 kas systemu Schultze-Delitzscha. Prof. Wagner zapewniał, iż dzięki tak doskonałej organizacyi kredytu drobna lichwa na wsi już dogorywa. Lichwiarze, jak wykazała ostatnia ankieta, tłumami opuszczają wsie, zwłaszcza w południowych Prusach.

Najżarliwiej rozprawiano na temat, czy stowarzyszenia zawodowe najmitów mają racyę bytu lub nie? Szczegółowo rozstrząsał kwestyę tę sekretarz ministra oświaty, prof. Löhning. Skoro prawodawstwo niemieckie zezwala przemysłowcom łączyć się dla celów ekonomicznych, nie ma, zdaniem sprawozdawcy, racyi zabraniać zrzeszania się ich podwładnym. Dotychczas tylko 8 drobnych państewek, w rodzaju Schaumburg-Lippe i Waldeck-Pirmonta, stoi na przeciwnem stanowisku. Oprócz tego nie udało się dotychczas rządowi znieść zakazu zrzeszeń na wsi. Właściciele ziemscy nie chcą udzielić swym pracownikom praw, z których korzystają miejscy najmici; zamiast jednak upiec przy ogniu prawodawczym swą pieczeń, szkodzą sobie swym uporem, gdyż przestarzałe pęta prawne spowodowują tłumną ucieczkę wieśniaków do miasta. Policya niemiecka i tu niechętnem wprawdzie okiem patrzy na stowarzyszenia fachowych pracowników i stara się zatruć im życie szykanami. Taktykę tę należy stanowczo potępić, zdaniem prof. Löhninga. Wszelkie postępowanie niezgodne z prawem porusza do głębi proletaryusza. Dziwnem mogłoby się wydać, gdyby ten sam rząd, co nadaje rzemiosłu organizacyę cechową, nosił się z myślą zburzenia organizacyj zawodowych robotniczych jak tego sobie gorąco życzy baron Stumm. Kurator uniwersytetu w Bonn, dr. Rottenburg, zaznaczył, iż cały ustrój polityczny Niemiec z jego parlamentaryzmem i powszechnem prawem głosowania wymaga tego, aby każdej grupie obywateli dać możność swobodnego porozumiewania się w swych sprawach ekonomicznych. Inni podnieśli potrzebę rozwinięcia samopoczucia godności w robotniku. Dążenie jego do lepszych warunków bytu nie powinno gorszyć nikogo, lecz naodwrót cieszyć współobywateli, znajdujących się w szczęśliwszem położeniu. Słowom tym przyklasnęli członkowie stowarzyszenia, pochodzący z najrozmaitszych warstw społecznych, jak dyrektor browaru, Rösicke, znany historyk, prof. Quidde, klerykalny fabrykant, Brandts, i inni. Bądź co bądź, całe wystąpienie stowarzyszenia można w dzisiejszych czasach rozpanoszenia się służalczości i reakcyi w Niemczech uważać za czyn wielkiej odwagi cywilnej.

N. F.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Polityczne *Consilium facultatis.*

Stańczyk nie powiedziałby dziś z pewnością, że najwięcej na świecie jest lekarzów, bo daleko więcej znalazłby polityków. Rzeczywiście polityka ma z medycyną wiele punktów wspólnych: obie nie wymagają jakichś osobnych uzdolnień i poprzestają na „dobrych chęciach," „rozsądku" oraz „doświadczeniach," obu nie potrzeba się uczyć w studyach teoretycznych, obie dążą do zapewnienia ludziom tego, czego oni sobie życzą przy każdym nowym roku — „zdrowia, szczęścia i pomyślności." Zachodzi wszakże między temi dwiema *dyscyplinami* jedna ważna różnica: podczas gdy powszechne trudnienie się medycyną po za jej uprzywilejowanym stanem korzysta tylko z tolerancyi, zajmowanie się polityką należy do praw każdego obywatela. Instykt samozachowawczy społeczeństw wprowadził tę różnicę z bardzo słusznych powodów: jeżeli znachor polityczny zaleci 10 milionom ludzi jakiś lek, który ich przyprawi o śmierć lub ciężką chorobę, nie jest to ani tak wielkiem nieszczęściem, ani tak wielkiem przestępstwem, jak to, kiedy znachor medyczny przepisze jednemu człowiekowi napar z blekotu, który go zabije lub pozbawi zdrowia. Słyszałem już tysiące razy skargi i złorzeczenia doktorów na owczarzów, felczerów, wreszcie na zwyczajnych ochotników Eskulapa, którzy ośmielili się doradzić choremu przystawienie pijawki, gdzie *lege artis* potrzebna była wezykatorya, lub zażycie korzenia tatarakowego, gdzie potrzebna była chinina; ale nie słyszałem nigdy, ażeby zgromiono jakiegoś fuszera politycznego za jego recepty, przepisywane społeczeństwu. Bo każdy jest urodzonym politykiem, a jeżeli, oprócz przyjścia na świat, pożądana bywa jeszcze jakaś inna kwalifikacya, to najzupełniej wystarcza, gdy kandydat na Bismarcka posiada: „ogólny szacunek," „rozległe stosunki," „znane imię," obszerną klientelę adwokacką lub lekarską, tytuł rodowy, a w braku tego chociażby tylko bezczelność. Wtedy już może być przewodnikiem narodu, twórcą programów, mężem zaufania publicznego itp. Wszelka, nawet najprostsza działalność wymaga jakiegoś przygotowania: nikt bez niego nie uszyje butów, nie podkuje konia, nie ułoży kamieni w bruku; jedno tylko „wytykanie nowych dróg narodowi" wolne jest od tego kłopotu. Puszcza się poprostu w ruch język lub pióro — a ten instrument natychmiast wskaże kierunek „nowej drogi." Dawniej, kiedy jeszcze nie istniała bezwzględna swoboda dla takiej inżenieryi, żądano, ażeby polityk znał gruntownie historyę, ustrój i rozwój instytucyj publicznych, gospodarstwo społeczne, psychologię i bardzo wiele innych nauk; dziś ten przesąd należy do przeżytków cywilizacyi, dziś można odbyć studya przy zielonym stoliku w klubach karcianych lub „oddzielnych gabinetach"—i być gotowym do zajęcia miejsca przy stole i gabinecie męża stanu.

Na chlubę czasu przyznać trzeba, że tak się dzieje w całej Europie. Nie biorąc czynnego udziału w życiu politycznem, nie mamy polityków urzędowych, ale mamy prywatnych więcej, niż według Stańczyka lekarzy. Codzień, co tydzień, co dwa tygodnie, co miesiąc wyskakuje na ulicę kilku z „programowymi" afiszami wyścigów o nagrody: nadwiślańską, polską, pocieszenia, zachęty, „pewnej przystani" itd. Te afisze, te wyścigi wraz z ich totalizatorem, kuszącym hodowców i publiczność do przegrywania bardzo wysokich stawek, są dotąd właściwie tylko dość ryzykownym sportem; niektórzy wszakże ich organizatorowie starają się nadać im znaczenie kultu narodowego, a swój w nich udział podnieść do takiej ważności, że — nie odbierając nikomu prawa wsadzania swego nosa do spraw politycznych — winniśmy nad tem zjawiskiem nieco się zastanowić.

Chodzi zaś głównie o krytykę kół i jednostek, które dawnym zwyczajem sądzą, że ludzie, pragnący odgrywać nawet tak skromną rolę, jaką jest przemawianie „w imieniu narodu," powinni koniecznie posiadać pewne przymioty umysłowe i moralne, bez których cała ich działalność jeśli nie jest bardzo szkodliwą, to co najmniej bardzo śmieszną. I jakież to mają być owe przymioty?

Polityka — mówią ci krytycy — jest zawsze robotą bardzo trudną, a polityka, usiłująca godzić, spajać, bratać narody, nietylko różne swą naturą i cywilizacyą, ale wielkością i siłą, jest tkaniną tak delikatną, z tak cienkich włókien złożoną, że mogą ją wykonać jedynie nadzwyczaj zręczne, wprawne i delikatne ręce. Grube, niewyćwiczone i niezdatne łapy wcale się do tego nie nadają. Tu potrzeba artystycznych palców jakiegoś Cavoura lub Deaka, nie zaś amatorów, którzy dla rozrywki, dla dogodzenia próżności, dla rachuby przerywają swoje zajęcia adwokackie, lekarskie, fabryczne lub karciane i chcą usnuć misterną koronkę stosunków międzynarodowych. Nadto człowiek, podejmujący taką robotę, musi być wielkim rozumem, bogatym w rozległą wiedzę i obserwacyę. Brzmi to jak bajka, chociaż jest prawdą, że u nas rozcinają nożem węzeł stosunków rosyjsko-polskich dyplomaci dziennikarscy, którzy nie znają ani psychologii, ani historyi obu narodów, którzy nie wiedzą lub — uważając to za rzecz błahą — nie pamiętają, jaka jest natura duchowa tych społeczeństw, jakie ich dzieje i jakie z tej natury i dziejów wynikają konieczności na przyszłość. Nawet władcy państw, posiadający prawo i możność wcielania w czyny swej woli, mają ciągle przed oczami i uwzględniają istotę i historyę swego ludu; sportsman polityczny wcale się o to nie troszczy. On nie pyta i nie zwraca uwagi na to, jak dawno jego naród żyje, jakie w ciągu rozwoju cywilizacyjnego wyrobił w sobie właściwości, potrzeby, cele, ideały, tkwiące niby siła musu w naturze całej gromady, lecz zupełnie w oderwaniu od tych warunków i czynników dyktuje mu swoje nakazy. Z knajpy, z warsztatu, z salonu wychodzi jak Mojżesz z tablicami przykazań i każe je czcić ludowi. Żaden monarcha nie jest do tego stopnia samowolnym i lekceważącym swych poddanych, jak zwyczajny dziennikarz przemawiający „w imieniu społeczeństwa," chociaż gdyby w jego głowę zamiast mózgu włożyć baryłkę owczego sera nie myślałaby ona i nie dowodziła głupiej.

Nie dość tego. Polityk — mówią Juniusowie — powinien być nietylko wielkim rozumem, ale także wielkim charakterem, tj. człowiekiem głębokich i czystych uczuć, mocnych postanowień, umiejącym wytrzymać najgwałtowniejsze ataki zawiści, ciemnoty i krótkowidztwa, ale jednocześnie niosącym w sercu dobro i godność swego narodu z taką czcią i uwagą, jak najdroższą miłość i najwyższą świętość. Musi on wszelką ofiarę na ołtarzu patryotyzm . spełniać z odwagą, wiarą i podniosłością dostojnego kapłana. Przejść z balansem moralnym bez upadku lub zbytniego pochylenia się w którąkolwiek stronę po linii, będącej jak gdyby ostrzem noża

a oddzielającej sferę koniecznych poświęceń od sfery niepodlegających im praw, odmierzyć ściśle daninę warunkom czasu i miejsca bez krzywdy dla dobra narodu, to jest wielka sztuka polityczna, której nie można zastąpić ani lokajstwem, ani obłudą, ani fałszowaną podwójną buchhalteryą. Poważam się postawić to jako zasadę, że potężne mocarstwa mogą używać w grze politycznej podstępów z dobrym skutkiem; ale społeczeństwa małe, słabe, zależne, tym sposobem nie odegrają się i prędzej czy później zdradzą swe podrabiane karty. Im przyniesie pożytek tylko szczerość, czasem milczenie, ale nigdy kłamstwo.

Jak dalece owa sztuka w ich położeniu jest trudną, mamy wymowny dowód z naszej historyi w A. Wielopolskim. Był to niewątpliwie człowiek rozumny, charakter w swoim rodzaju bardzo mocny, do działalności politycznej jak gdyby stworzony; mimo to spartolił powierzone mu zadanie — dlaczego? Dlatego, że nie był psychologiem, że nie pojmował należycie ani natury swego społeczeństwa, ani jego współczesnego nastroju. Bezmierna buta popsuła mu najpożyteczniejsze roboty i najlepsze zamiary. Opowiadają o nim, że miał w swym gabinecie tylko jedno krzesło, ażeby ktoś z przychodzących a troszkę niższych przypadkiem u niego nie usiadł. Do wszelkich mów, nawet najrozumniejszych, musiał wplość jakąś obrazę, jakieś słowo drażniące. Porównawszy go z Bismarckiem, na szczycie swej sławy i władzą sączącym z ust miodowe pochlebstwa dla tych, których pragnął pozyskać, a których często w duszy nienawidził, spostrzeżemy olbrzymią różnicę między politykiem - psychologiem a politykiem, zapatrzonym i zasłuchanym jedynie w swą wolę. Wielopolski nie potrzebował udawać przyjaciela, on tylko nie powinien był występować ciągle jako pogromca dzikich zwierząt. Jest on też może jedynym w dziejach okazem męża stanu, który posiadając tęgi umysł i tęgi charakter, wyjątkową sposobność i rzetelną chęć wyświadczenia swemu narodowi ważnych i niezapomnianych usług, nic zrobił nic dobrego, wywołał zawieruchę i zeszedł z widowni przez nikogo nielubiany i nikogo nieżałowany. Nie było zarówno między Polakami, jak między Rosyanami ani jednego człowieka, któryby nazwał się jego przyjacielem i stronnikiem. Dopiero później zaczęto go oceniać i przeceniać.

Czy z tą postacią, bądź co bądź wysokiej miary, można zestawić dzisiejszych deklamatorów politycznych, gazeciarzy chwytających plotki w powietrzu, twórców zamków na lodzie i biczów z piasku, ludzi bez zdolności, nieraz bez charakteru i bez czynnego uczestnictwa w machinie państwowej? A jednakże jak ten krzykliwy drób głośno pieje, gdacze, kwaka i wyrzuca pawie lub indycze krzyki. Doprawdy, słysząc ten wrzask, podnoszony często przy wygrzebanem w śmieciach ziarnku zboża, nie czujemy chęci do rozważań poważnych, ale do śmiechu z karykatury. Wobec tego *consilium facultatis* można tylko zawołać: no, dosyć już panowie tej farsy, dosyć; jeżeli nie możecie zamilknąć, to przynajmniej cokolwiek zeszanujcie swoje złote usta, bo choremu już boli głowa od waszej hałaśliwej polityczki.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ACETYLEN I JEGO ZASTOSOWANIA.

Henryk Moissan, dziś gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie wiedzy francuskiej, oddaje się, jak wiadomo, badaniom w zakresie chemii wysokich temperatur*).

Na drogę tę zaprowadziło go w części odkrycie pieca elektrycznego, który pozwala bardzo prostą drogą osiągnąć 5,000, a nawet 5,400° C. Nikt jeszcze, oprócz Moissana, nie miał sposobności korzystać w laboratoryum z tak potężnego źródła ciepła; chemik francuski wyzyskał znakomicie swój wynalazek. Naprzód, przy jego pomocy, wytworzył sztucznie dyament, następnie zbadał cały szereg rzadkich metalów, jak chrom, tytan, molybden i ich połączenia wzajemne (stopy), czem oddał wielkie usługi metalurgii.

Najciekawszemi jednak, nietylko z teoretycznego, ale i z praktycznego punktu widzenia, są jego poszukiwania nad węglikami, tj. związkami metalów z węglem. Dowiódł on, że w wysokiej temperaturze pieca elektrycznego węgiel rugując z łatwością tlen z tlenników, wstępuje sam na jego miejsca, dając cały szereg połączeń ściśle określonych i posiadających własność rozkładania się w obecności wody.

Przy takim rozkładzie, odbywającym się już w zwykłej temperaturze, powstają najrozmaitsze węglowodory.

Tak np. węglik glinu daje metan; węgliki uranu i ceru—mieszaninę węglowodorów gazowych, płynnych, a nawet stałych; węglik manganezu - metan i wodór, węgliki litynu i wapnia—acetylen.

Opierając się na tych faktach, Moissan postawił zupełnie nową hypotezę pochodzenia nafty.

Podług niego węgliki metalów tworzyły się obficie w epoce, kiedy skorupa ziemska posiadała jeszcze wysoką temperaturę; związki te, znajdujące się prawdopodobnie w głębokich warstwach, stykają się z wodą, przesiąkającą powolnie skały, i ulegają rozkładowi. Powstaje więc mieszanina węglowodorów, które gromadzą się pod ciśnieniem w pewnych miejscach lub też wytryskują na powierzchnię, jako źródła nafty.

Rozpatrywanie prac Moissana w zaznaczonym kierunku zaprowadziłoby nas za daleko; ograniczymy się tedy do acetylenu.

Już w 1892 r. chemik francuski, o którym mowa, spostrzegł, że wskutek wysokiej temperatury węgiel elektrodów rozkłada wapienne cegiełki pieca elektrycznego i tworzy węglik wapnia — ciało szare, dające w zetknięciu z wodą acetylen.

Reakcye te odbywają się podług następujących wzorów:

CaO	+	3C	=	CaC^2	+	3CO
wapno palone	i	węgiel daje		węglik wapnia	i	tlenek węgla.

Węglik wapnia zaś: CaC^2, z wodą: H_2O, zamienia się na wodan wapnia: $Ca(OH)_2$ i acetylen: C_2H_2.

Dość jest wrzucić do wody kilkanaście kawałków węglika wapniowego, aby gaz niezwłocznie zaczął się wydzielać i to dość regularnie. Jeżeli go zapalimy na końcu rurki, przy zachowaniu tych samych ostrożności, co i z wodorem, otrzymanym w kolbie z kwasu i opiłków, to ze zdziwieniem przekonamy się, że płomyk wydaje niezmiernie jasne światło, zbliżone do elektrycznego. Pomiary fotometryczne wykazały, że acetylen świeci stosunkowo 14—15 razy silniej od najlepszego gazu z węgla kamiennego; łatwo więc pojąć, dlaczego odkrycie Moissana wzbudziło tak żywe zainteresowanie w kołach technologów, a nawet szerszej publiczności.

Skąd pochodzi ta nadzwyczajna siła światła?

Odpowiedź na to pytanie nie przedstawia trudności, jeżeli się wie, że węgiel, wchodząc w związek z wapniem pochłania znaczną ilość ciepła. Dla otrzymania 400 grm. (około 1 funta) węglika wapnia trzeba zużyć jednego konia — godzinę (270,000 z górą kgm.) energii mechanicznej, zamienionej w cieplikową i elektryczną.

Owa energia w części wydziela się przy rozkładzie węglika wodą, w części zaś pozostaje utajoną w acetylenie, który także jest związkiem endotermicznym.

Uwalnia się ona ostatecznie, kiedy acetylen pali się na powietrzu, i sumując się z ciepłem naturalnem płomienia, podwyższa znakomicie jego temperaturę, a co za tem idzie siłę świecenia.

Teoretycznie trzeba pomieścić w piecu elektrycznym 85,5 kg. wapna i 256,25 kg. węgla, którego $^2/_3$ łączą się z wapniem, a reszta idzie na wytworzenie tlenku węgla. W praktyce jednak należy te dwa ciała zmieszać ze sobą pół na pół. Ilość otrzymanego węglika wapniowego równa się w przybliżeniu [illegible] części mieszaniny.

Trzy kilogramy węglika, rozłożone wodą, dają jeden metr sześcienny acetylenu.

Gaz ten posiada własności wyróżniające go od innych węglowodorów; najgłówniejszą z nich jest zdolność do wybuchania, wynikająca z tego, cośmy powiedzieli wyżej. W laboratoryum fizyka Raoula Picteta, który zajmował się skropleniem acetylenu, eksplozya zabiła dwóch robotników i sprawiła znaczne spustoszenia.

Ten wypadek ostudził na razie zapał do nowego środka oświetlającego; akademia wydelegowała pp. Berthelot i Ville, aby ci zbadali kwestyę.

Uczeni ci po długich i skrupulatnych doświadczeniach doszli do wniosku, iż acetylen skroplony w naczyniu metalowem, może w pewnych warunkach wybuchać prawie tak silnie, jak nitrogliceryna; warunki te jednak napotykają się w praktyce wyjątkowo i niema racyi zrzekać się użycia acetylenu.

W zetknięciu z miedzią gaz ów tworzy też łatwo eksplodujące związki; ostrożność nakazuje więc unikać tego metalu przy wyrobie rur i zbiorników. Po za tem acetylen nie jest niebezpieczniejszy od zwykłego gazu: zmieszany z powietrzem, płonie gwałtownie, jak wszystkie węglowodory; daje się tedy zużytkować do motorów gazowych.

W pewnym stopniu jest trujący, atoli właściwa woń pozwala wykryć odrazu jego obecność w powietrzu.

Pod wysokiem ciśnieniem (podług Cailleteta i Olszewskiego przy +50 atm. w temperaturze 1°C.) skrapla się na ciecz bardzo lekką i przezroczystą; ponieważ jednak, jak dowiódł Berthelot, zgęszczony acetylen wybucha niekiedy, przeto szukano sposobu nagromadzenia go w znacznej ilości i w małej przestrzeni pod niskiem ciśnieniem. Zadanie to na pozór niewykonalne; znalazł się przecież sprytny chemik, Claude, który rozwiązał je bardzo szczęśliwie.

„Chcąc wyrugować acetylen skroplony — powiada on — zwróciliśmy się, ja i p. Hess, do niespożytkowanej jeszcze własności tego gazu, mianowicie do jego rozpuszczalności w płynach.

Płynów tych istnieje spora liczba, daliśmy jednak pierwszeństwo *acetonowi*, ponieważ absorbuje on duże ilości acety-

*) Patrz tegoż autora wydane świeżo dzieło p. t.: *La four électrique*

lenu, a co najważniejsza, daje się łatwo fabrykować z octanu wapnia.

Aceton — płyn bezbarwny, bardzo ruchliwy, o ciężarze gatunkowym 0,8, rozpuszcza od 20—30 objętości acetylenu. To mało, a co gorsze gaz, zaabsorbowany pod zwykłem ciśnieniem, nie ulatnia się dobrowolnie. Na szczęście rozpuszczalność gazów, jak nas uczy fizyka, rośnie z ciśnieniem; jeżeli więc będziemy operowali przy 2, 3, 4—10 atmosferach, to nagromadzimy nie 30 litrów acetylenu w jednym litrze acetonu, lecz 50, 75, 100—250 litrów. Prócz tego rozpuszczony pod wyższem ciśnieniem gaz daje się natychmiast zużytkować. Dość odkręcić kurek od rezerwoaru, ażeby zawarty w nim acetylen zaczął się wydzielać podobnie, jak kwas węglany z wody sodowej w syfonie.

Skoro zużytkujemy wszystek rozpuszczony w naczyniu z acetonem gaz, zamieniamy je na inne, zawierające świeży jego zapas itd."

Sposób ten posiada bez wątpienia dużo zalety. Usuwa potrzebę ucickania się do ciężkich zbiorników, które w dodatku mogą eksploadować i pozwala na detaliczną sprzedaż acetylenu, jak np. nafty, oliwy lub wody sodowej.

We flaszce żelaznej, objętości dwóch litrów, pod ciśnieniem tylko 12 atmosfer można nagromadzić około 400 litrów acetylenu, który zasila bek dwudziestoświecowego natężenia świetlnego przez 26 godzin. Taka flaszka umieszcza się, podobnie jak rezerwoar naftowy, w lampie i bez żadnych specyalnych urządzeń, za odkręceniem kruczka, daje nam piękny, jasny płomyczek.

Zdaje się, że sposób Jerzego Claude'a ma większą szansę rozpowszechnienia się, aniżeli liczne już dziś przyrządy do fabrykacyi acetylenu w domu, z węglika wapnia. Przygotowując gaz do własnego użytku, konsument naraża się na niebezpieczeństwo. Dość nalać trochę wody na dużą ilość karbidu, aby nastąpił wybuch wskutek miejscowego podniesienia się temperatury, zwłaszcza jeżeli gaz znajduje się pod ciśnieniem kilku atmosfer.

W przeciągu ostatniego roku wynaleziono już kilkadziesiąt lamp przenośnych, zasilanych acetylenem, wytwarzającym się automatycznie w rezerwoarze. Podług nas jednak, nikomu nie będzie się chciało babrać w czarnym węgliku wapniowym, ani czyścić zbiornika z produktów w nim pozostałych.

W Ameryce i we Francyi urządzono na próbę zakłady acetylenowe na wzór zwykłych gazowych. Sieć rurek dostarcza konsumentom acetylenu w żądanej ilości.

Metoda ta ma za sobą długoletnią praktykę; jeżeli więc nowy środek oświetlający zdobędzie sobie uznanie u publiczności, to zastosują ją niezawodnie we wszystkich wielkich miastach. Nie obejdzie się przecież bez uporczywej walki, gdyż rugowanemu do niedawna przez elektryczność a nawet naftę gazowi spieszy z pomocą Auer i jego naśladowcy z palnikami żarowymi.

Acetylen nadaje się nietylko do oświetlenia, lecz i jako źródło energii mechanicznej.

Zmieszany we właściwym stosunku z powietrzem, może poruszać motory gazowe i naftowe, które rozpowszechniają się w przemyśle i świeżo znalazły zastosowanie do powozów-samochodów, czyli z francuska automobilów. O ile nam wiadomo, zbudowano już tego rodzaju wehikuł, wprawiany w ruch acetylenem, zamiast benzyną.

Cykliści widzą w nim doskonały materyał palny do latarek, które muszą dawać silne światło, a nie być ciężkie i duże. Fotografowie przekonali się, że można go używać do zdjęć wieczorem, zamiast proszku wybuchającego lub lampy elektrycznej; słowem, rzucono się na tę nową zdobycz z zapałem. Świeżo zastosowania acetylenu mnożą się z dniem każdym.

We Francyi, a za jej przykładem i w innych państwach, wypracowano przepisy prawne dla producentów i konsumentów tego gazu, co należy pochwalić ze względu na pewne niebezpieczeństwo, wynikające z użytkowania go.

W. U.

LITERATURA I SZTUKA.

SAMOTNI.

(Dokończenie).

Powyższy przykład hypotetyczny krok w krok postępuje za tem, co nam rzeczywistość przedstawia. Jak w drugim wypadku normalnej sympatyi między gieniuszem i tłumem mieliśmy z jednej strony miłość, a z drugiej uwielbienie z odpowiednim podziałem władzy i wpływów, tak w trzecim wypadku mamy z jednej strony, ze strony tłumu, zadowolenie coraz bardziej wzrastające, a z drugiej, ze strony gieniusza, krzyki, jęki i skargi coraz rozpaczliwsze. Uczucia nasze, jak zresztą i wszystkie przejawy naszej osobowości, są tylko pewnemi odmianami i formami energii życiowej. Gdy ona bije silnem źródłem, wydaje w gieniuszu uczucia zdrowego egoizmu i zdrowej sympatyi, gdy ona sączy się już ostatniemi kroplami, wydaje uczucia sobkostwa, chorobliwego altruizmu, dekadencyi, mistycyzmu itd. Wszystko to są formy energii, które nauka prawdopodobnie kiedyś ściśle wymierzać potrafi. Ostatecznie wszystkie te krzyki i jęki mogą być piękne, gdyż wydawane są przez potomków pięknych niegdyś rasowców — tak pięknemi są pozy konających gladyatorów lub szlochy umierających słowików — ale mimo to mamy tu zjawiska konania i śmierci.

Mówimy zwykle: „Kto ma więcej sił, ma większe obowiązki: niechaj gieniusz się poświęca, a kochać go będziemy" itd. Otóż to jest najgorszy rachunek z punktu widzenia społecznego: trwonienie bezmyślne najcenniejszych skarbów antropologicznych, które natura długiemi tysiącoleciami skupiała. W interesie społeczeństwa jest, aby te skarby wzrastały jeszcze w energię: wówczas i przyszłe pokolenia będą mogły także z nich korzystać. Trzeba od gieniuszów wymagać nie poświęceń nad siły i nie wyrzeczenia, lecz brać z nich tylko odsetki, pozostawiając kapitał antropologiczny nienaruszonym. Cała Europa trzymała się natomiast dotychczas pod tym względem bezmyślnej, rabunkowej gospodarki i dlatego żyje obecnie resztkami gieniusza i talentów. My dotychczas w tej sprawie postępujemy zupełnie jak dzicy, którzy dla schwytania jednej sarny podpalają nieraz cały las. Wiem bardzo dobrze, iż najwięksi gieniusze tworzyli swe arcydzieła w poświęceniu i wyrzeczeniu się: łzy rozczulenia stoją w oczach, gdy pomyślimy, iż Mickiewicz musiał zastawiać kopertę od zegarka, aby kupić dzieciom mleka. Ale na tem właśnie polega powyższa gospodarka dzikich. Przedstawmy sobie przepyszne olbrzymie drzewo, którebyśmy systematycznie podkopywali, odzierali z kory i gałęzi. Nawet w takim razie ono dawać może owoce jeszcze piękniejsze, niż jakaś świeża, licha drzewina, ale nie oczekujmy odeń długiego istnienia: to, co my nazbyt bierzemy od gieniusza, w uczuciach, w czynach lub myślach, w sympatyi lub poświęceniu, i czem wywołujemy w nim chorobliwość i zwyrodnienie, to odejmujemy przyszłym pokoleniom, które owoców tego drzewa już spożywać nie będą.

Gieniusz jest największym arystokratą na świecie: jego pochodzenie kryje się w pomroce wieków, wszystko, co się jego tyczy, mierzy się na setki tysięcy lat, wobec niego wszystkie nasze ideały społeczne, powstałe w ciągu ostatniego wieku i które są słuszne w zastosowaniu do różnic klasowych, opartych na warunkach nie antropologicznych, lecz ekonomicznych, muszą zamilknąć. Kultura jego musi też być obliczona nie na najbliższe potrzeby, lecz na najbardziej oddalone pokolenia. W tem znaczeniu za jedynie zdrowe stosunki pomiędzy gieniuszem a tłumem musimy uważać powyższy wypadek sympatyi, opartej na obopólnym, dobrze obrachowanym interesie, który zapewnia największe dobro społeczne.

Co się tyczy pierwszego rodzaju sympatyi, wywołanego mieszaniem gieniusza z przedstawicielami ras niższych, to według wszelkiego prawdopodobieństwa ona wraz z krzyżowaniem bezładnem kiedyś zaniknie. Praktyka ta była pod względem rozwoju społecznego dobroczynna, ale antropologicznie prowadzi do zaniku gieniusza *).

Nareszcie trzeci rodzaj stosunków, powyżej przedstawiony, polegający na systematycznem wyrzekaniu się i poświęceniu, musi stanowczo być potępiony, gdyż prowadzi do zwyrodnienia gieniusza, który z czasem w ten sposób zanika, ale przedtem jeszcze zaraża swą chorobliwością atmosferę moralną społeczeństwa **). Tu, rozumie się, nie należą te wypadki chorobliwości, które wywołane są ogólnemi nieszczęściami społecznemi, nie zaś walką gieniusza z tłumem. Dla tych wspaniałych objawów cierpienia można mieć tylko szacunek i uwielbienie. Ale to jest wypadek wyjątkowy. Za normalną i zdrową, czyli będącą w naturze rzeczy, można uważać tylko tę sympatyę między gieniuszem a tłumem, która ma za podstawę dobrodziejstwo z jednej strony i wdzięczność z drugiej ***), czyli miłość i uwielbienie. Inaczej mówiąc, są to mniej więcej te same stosunki, jakie istniały między dobrymi feodałami średnich wieków i między gieniuszem. A stosunki te, jak wiadomo, nie mogą być dobre. Prawdziwa sympatya istnieć może tylko między równymi. Dotychczas rasy niższe wyobrażały sobie, iż mogą się obejść bez gieniuszów i wytępiały ich; z czasem przekonają się, iż bez nich żyć nie mogą i wówczas oddawać się będą nawet ich hodowli, ale natura ich uczuć pozostanie niezmienną. Prawda, że tłum może z czasem stać się dobrze odzianym, wykwintnym, ukształconym, ale to nie może zmienić jego rasy, jak koń pociągowy nie stanie się naraz rasowcem, chociażbyśmy go odziali w najpiękniejsze chomąto i chociażbyśmy go nauczyli jak najładniej tańczyć. A więc w najlepszym nawet wypadku, zupełnego uznania, gieniusz jeszcze skazany będzie na samotność. Jest to najogólniejszy rys, który odnajdujemy u wszystkich bez wyjątku gieniuszów. Oto np. co pisze Prozor o Ibsenie, który jest zresztą tylko talentem wielkiej miary: „Szedł tak zamyślony, tak odosobniony od wszystkiego, co go otaczało, iż czynił wrażenie człowieka innej rasy, który nie ma nic wspólnego z otaczającym go tłumem. Dość było zetknięcia się z nim, a samotnik wnet się pojawiał." To samo powiedzieć można o wszelkich wogóle gieniuszach. Ta nieśmiałość i bojaźliwość, które oni zwykle

*) Porówn. „Gieniusz i rasa," *Prawda* z r. b.

**) Porówn. „Poeta i świat," *Prawda* z r. b.

***) Żadnymi skarbami społeczeństwo nie mogłoby opłacić Shakespeare'owi tych rozkoszy, których on mu dostarczył i dostarczać będzie bez końca.

odczuwają w tłumie *), jest tylko odrodzeniem wrażeń ich oddalonych przodków, gdy stado ludzkie schwyciło w sieć jednego z nich i gdy otaczało go ze śmiechem i urąganiem, jak dzieci znęcające się nad wilczątkiem. Ten właśnie stan duchowy nieśmiałości, a zarazem i gniewu, przechodzi geniusz wobec tłumu, zanim pochwyci nad nim władzę. Wszedłszy do stada, jako wódz, pozostaje on, pod maską sympatyi, w gruncie rzeczy takimże egoistą i samotnikiem, jakim był dawniej. I w ten właśnie sposób natura zabezpiecza mu wciąż niezbędne warunki twórczości duchowej, gdyż samotność jest normalną, zdrową atmosferą geniusza.

Dr. L. Winiarski.

Ada Negri. **)

Ada Negri mogłaby powtórzyć o sobie słowa Pankracego: urodziłam się z pyłu przydrożnego! Biedna nauczycielka w niewielkiej i opuszczonej wioszczynie, przyszła na świat jako córka prostej robotnicy fabrycznej. W jej biografiach nie spotkałem dotychczas wzmianki o ojcu. W jednym z utworów poetki („W wielkim szpitalu") znaleźliśmy o nim parę ustępów. Umarł w szpitalu, gdy córeczka leżała jeszcze w kolebce. „O ojcze mój — skarży się Negri— którego nie znałam, czy słyszysz ty dziecię twoje? Czy dolata do ciebie głos stworzenia, któreś pozostawił opuszczone, na pastwę nędzy, zimna i wiatrów?" I opowiada zmarłemu swoje dzieje, smutne i posępne. „Dziecina twoja rosła, cierpiała i tworzyła, niekiedy płakała po tobie, szła po ostrzach noży, ale w poważnych jej oczach leżały błyskawice odwagi i namiętności, świeciła energia wiary. I zwyciężyło wreszcie maleństwo! Z dumą blii podniosło się w górę, żądne walki, nie trwożliwe wobec niebezpieczeństw, pełne miłości, wiary i hartu." I znowu zwraca się myślą ku ostatnim chwilom ojca, utyskuje, że umarł on samotny w szpitalu, że obca zakonnica zamknęła powieki jego i że z matką dowiedziały się tak późno o jego skonie! Matkę, która ją wychowała, darzy poetka gorącem uczuciem. Poświęca jej pierwszy tom swoich utworów. „Jestem silna i mężna! Na pochyłej drodze odbierano mi wiarę i raniono duszę. Ale dumna i harda wdrapuję się coraz wyżej ku jasnej zorzy poranków. Jestem jako dąb, co zimą nie trzęsie się od wiatrów. O matko, pobłogosław mnie. Walczę tylko dla ciebie, dla ciebie ufam i trwam na obranej drodze. Gdy krew gra burzliwie w żyłach i zaledwie mogę łzy powstrzymać, gdy ciemne żądze we mnie się pasują, duch mój buntuje się, a cnota stygnie, o matko moja, ja wtedy patrzę na ciebie!"

Poetka wyrosła wśród nędzy, która niejedną jej towarzyszkę rzuciła w przepaść spodlenia lub przedwcześnie zagnała do mogiły. Czasy te wyryły w jej umyśle obraz niezatarty, utwory jej są jednym nieustającym krzykiem dziecka ludu, czującego, że w takiem położeniu znajdują się tłumy jej rówieśników i że zadaniem jej, jako osoby, obdarzonej iskrą twórczą, jest nie uprzyjemnianie wczasów tym, którzy mogą całą garścią czerpać ze skarbnicy sztuki i wiedzy, lecz rozegnanie troski wydziedziczonych współbraci i dodawanie im otuchy, iż przecież zabłyśnie kiedyś inne słońce na niebie. Zwłaszcza w pierwszym tomiku jej utworów (*Fatalità*) spotykamy ostre tony, chociaż i w następnym ich nie brak. Mimowoli nasuwa się nam porównanie pomiędzy tą poetką, która wyszła z pośród ludu, zdrowa, silna, namiętna, a lirykami w rodzaju Tetmajera. Jaka przepaść pomiędzy dzieckiem nędzy, które wycierpiawszy się w dzieciństwie, podnosi teraz głos z nizin społecznych, ażeby rozegnać nieco mroki tam panujące i rozgrzać serca zesztywniałe, a tymi mistrzami rymu, którzy skwitowali z wszelkich wielkich idei i poprzestali na skromniejszem zadaniu: budzenia zachwytu wśród rozpróżniaczonych dam salonu i wyśpiewywania swoich tęsknot miłosnych. Zamiast pesymizmu, zabarwionego — krańcowości się stykają — żądzą orgii, w sercu Ady Negri wrze szalone pragnienie życia, walki za ideę, powabów przyrody, prostej szczerej miłości. „Chciałabym żyć, wiecznie żyć i mieć zawsze lat dwadzieścia, kochać ciągle i śmiać się. Jestem jako skrzydło ptaszyny lekka i jako kłos trawy świeża, jasna jak zwierciadło toni morskiej. O śmierci, odejdź ode mnie, odejdź! Tak kocham wodę i światło słoneczne i zdrową matkę-ziemię, pod pocałunkami pałającego słońca rodzącą plony... Piosnkę swoją niosę w upominku mięśniom ciała i myślom mózgu, dziełom ręki ludzkiej i duchom porywającwacym się naprzód, gorącym szeptom miłości i matce z dziećkiem u łona i ojcu znużonemu pracą całodzienną, miastom i wioskom, lasom i niwom, gajom i górom, zbożu złocistemu i energii geniuszów... Cierpieniom nawet! I cierpienie jest życiem... Po urwistej pochyłości idą za mną tłumy silnych i wolnych, ufnych i zdrowych, w zapasy o przyszłość. Wśród płomieni gorejącego słońca rozwiewam sztandar i śpiewam pieśń moją tym, których pamięć nigdy nie umrze!"

Śpiewaczka niekiedy ugina się pod ciężarem bezsilnej litości i wątpienia, czy jej starczy hartu podołać obowiązkom. Wydobywa się z jej piersi rzadki zresztą okrzyk rozpaczy, ale ta boleść nie niema wspólnego z dziecięcym *Weltschmerzu* przecywilizowanych paniczów: jest to zawodzenie matki, która widzi, jak jej dzieci toną, a ona niema nawet możności ratowania istoty tak bliskiej jej sercu. Wtedy i miłość ukoić jej nie zdoła. Gdy spoczywa w objęciach mężczyzny, szczęście od niej ucieka, bo myśl ją dręczy, że nie tak szczęśliwe inne jej siostry w ludzkości, obałamucone krótką chwilą upojenia, zepchnięte zostały na manowce, po których błąkają się wyklęte i opuszczone. Odpędza wtedy kochanka. „Ty, taki piękny i duży, taki silny i odważny, ty błagasz mojej miłości! Rozważ tylko! Jeśli nadzieja i radość są ci drogie, nie zachodź mi mojej posępnej drogi. Precz, młodzieńcze, ziemia szczodrze obdarzy cię miłością i spokojem, bo ja — to walka! Patrzyłam na posępne chmury, gromadzące się na drogiej, siwizną przyprószonej głowie matki, na losy ciężkie, obdzierające nas ze szczęścia. W żałobie, osłabiona głodem, płakałam z zimna i braku chleba! Gdy myślę o matce, którą zjadły cierpienia długie i bolesne, o chacie ojca opuszczonej, o świecie, który szydzi z nas i jak szalony się bawi, wtedy nienawiść, śmiertelna, nieprzejednana nienawiść, mnie pali i daje pieśni mojej skrzydła. I ty chcesz mej miłości, młodzieńcze! Odejdź, zapomnij o mnie. Ziemia szczodrze obdarzy cię miłością i spokojem, bo ja — to walka!" Miłość jednak istnieje w sercu poetki i potężnym akordem, strojnym w tony ludzkie, idejowe, ale namiętne, wydobywa się ze strofek jej utworów. Uczucie to zaprawdę nosi na sobie blaski szlachetne, czuć w niem kobietę-człowieka, nie zaś samca, szalejącego w tęsknocie namiętności, ani samiczki, żądnej tylko zaspokojenia. „Ty kochasz mnie — odrzuca komuś Ada Negri — powiedziałeś mi to i wzruszony milczysz oczekujesz odpowiedzi. Bladość pokryła twarz twoją. Chcesz, ażebym oddała ci miłość i pocałunki, żądny kwiatu mojej świeżej jeszcze młodości. Ale powiedz mi, czy znasz ty obawy, walki i burze w imię ideału? Czy wiesz, co znaczy cierpienie? Siły moje i krew gorąca, oddech palący i dusza namiętna moja — cobyś z niemi począł? Czy pracowałeś kiedykolwiek, czy zaznałeś nocy bezsennych i bez odpoczynku, wśród których myśl wzniosła rodzi się w duchu? Nie dajesz odpowiedzi! Odejdź! Wracaj do straconych godzin w próżniactwie, do złotego cielca, do kart i balów, i brzęku kieliszków! Serce moje, usta i spojrzenia odwracają się od ciebie! Gdybyś stał przede mną w łachmanach, zbiedzony, lecz z dumą pracy na czole, z iskrą boską w piersi, rozbity przez nędzę, ale z ufnością w oczach, gdybyś był plebejuszem, ale śmiało wznosił głowę po nad zawiściami, pożerającemi ludzi — o! wtedy ukochałabym ciebie! Czem jesteś? Czego spodziewasz się ode mnie, nędzny niewolniku, czujący się dobrze w złotem błocie? Precz! pogardzam tobą, słabego ducha mężczyzno, istotne, słabe dziecko wieku tak samo nikczemnego!"

Negri kocha przyrodę. Dziecko ludu, wychowane w zatęchłej atmosferze fabryki tkackiej, ogłuszone tętnieniem maszyn, nie rozpieszczone przez życie, odzywa się całą pełnią w tych prostych a rzewnych strofkach, które wydobyły się z jej ducha. Dla wzbudzenia w niej zachwytu, nie trzeba wyjątkowo uroczych obrazów: gór, pasmem wysokiem otaczających kotlinę, obłoków, zsuwających się po grzbiecie szczytów, ani wzburzonego szumu bałwanów morskich. Wystarcza jej kawałek jasnego nieba, nieco zieleni i świeżego powietrza. Niema tam przerafinowania, ale jest życie, są uczucia sympatyi społecznej, ufność w jutro. Bez wzruszenia trudno czytać śpiew poetki, zwrócony ku ziemi — śpiew poganki, hożej i zdrowej, nienawidzącej miast i zgiełku, ubiorów salonowych, grzeczności zdawkowej. „Dajcie mi szpadel, motykę i bronę! Nie dbam o skwary letnie, będę pracowała wśród pocałunków żaru słonecznego w polu, wezmę luźne ubranie, obnażę ramiona, założę za pas spódniczkę. Chciałabym mieć przy sobie blade damy z rękami jak wosk delikatnemi i bezsilnemi, bez życia jak kwiaty podczas zimy. Chciałabym także zaprządz do pracy bezużytecznie żyjących pasibrzuchów, te duże dzieci, wynędzniałe od spleenu i próżniactwa. Precz z krawatami i strojami! Niech słońce opali łono, dajcie mi światła, jędrnego powietrza i wolną rolę. Do ziemi!.. Do ziemi!" Wśród niw złocistych, pod pałącem dotknięciem słońca, i w odurzeniu aromatów łąk jedno tylko smuci poetkę: niema ona czarodziejskiego fartucha, w który zabrałaby nieco promieni słonecznych i zapachu kwiatów polnych i zaniosłaby te drogie skarby w upominku współbraciom w zatęchłe powietrze warsztatów. Wzamian niesie im piosnki swoje. „Do ciebie idę, stary grodzie, pełny wspaniałości! Rzucam szpadel i motykę. Czy mnie zechcesz? Jestem przecież młoda i silna; z pośród niw ryżu i wód wchodzę śmiało w ogłuszający hałas fabryk. W ciasne izdebki niosę promyk słoneczny i wywołać pragnę rumieńce na twarzy zbiedzonej dzieciaków, obrzucę je aromatami łąk i szczebiotem radosnym jaskółek, kąpiących się w gorącu południowego słonka.."

Miasto nie lubi odgłosów wioskowych, chce złota, nie słońca, ukochało pył, nie zaś czyste powietrze, nie zna zdrowych, choć spracowanych twarzy. Tony poetki przybierają charakter posępny. Tam przy pracy ludzie pieśnią wtorują zgrzytowi żelaznych potworów, melodya wije się wraz z nitką, wychodzącą z pod palców wrzeciona automatycznego. Krzyk rozpaczy — maszyna urwała rękę młodej dziew-

*) Np. poeta w „towarzystwie."
**) *Fatalità* i *Tempeste*.

czynie. Rodzice oddają wesołą dziecinę do warsztatu, w ciągu pierwszych miesięcy jej śpiew rozlega się wśród hałasu fabryki, ale niebawem traci ona radosne usposobienie ducha, chudnie i umiera na suchoty: brak czystego powietrza i słońca zabił śpiewaka ulicy. Ada Negri nie poprzestaje na mieście. Wyszukuje ona obrazy niedoli gdziekolwiek istnieją. Pożar kopalni: paręset górników ucieka przed rozszalałym żywiołem, walczy z językami ognia, zewsząd ich obejmującymi — nadaremnie, wróg zabiegł im drogę i giną wszyscy, z rozpaczą myśląc o osieroconych dziatkach i zazdroszcząc tym, którym los pozwolił pracować pod otwartem niebem. Żebrak włóczy się po ulicach — taki, jakiego przeszłość nie znała: człowiek pragnie pracować, prosi o zajęcie, ale warsztaty stoją z powodu przesilenia i wszędzie pokazują drzwi nędzarzowi. Wychodźcy zwłaszcza pociągają poetkę. Wraca ona kilkakrotnie do tego przedmiotu, jak do rzeczy bardzo bliskiej i bolesnej — do losu dziewczęcia, które napróżno czeka na narzeczonego. „Nie powracaj" jest wprost arcydziełem języka i namiętności. „Nie powracaj, pozostań tam za morzami i górami. Nasza miłość zamarła. Zmęczyła mnie ona, zdeptałam ją, spoliczkowałam, porwałam na tysiączne strzępy! Milczę teraz spokojna i krew namiętna powolniej przebiega żyły moje. Sypiam nocą obecnie i nie wołam do ciebie wśród szlochań i jęku. Nie powracaj! Postanowiłam cię znienawidzieć, jak ongi miłowałam. Tak, nienawidzieć za lata mojej kwitnącej młodości, które zmarnotrawiłam bez pieszczot i miłości. Ale ja cierpię nienawidząc ciebie, i muszę nawet wypłakać się często... I ty stoisz przede mną, gdy cię przeklinam. Chcę spokoju — wielkiego, cichego, chcę milczenia dla uderzeń serca. Tam siedzi wróg, tam zamurowano chorego, zmożonego cierpieniem, walczącego ze śmiercią, lecz chcącego żyć jeszcze!"

Ale Ada Negri rysując ponure obrazy pracy w warsztatach, bynajmniej nie należy do rzędu ideologów drobnomieszczańskiego znaku, którzy miotają złorzeczenia na maszynę. Nie! Poetka ukochała potwory ze stali i żelaza, bo uważa je za rzeczników dobrobytu powszechnego. Urywają one ludziom ręce, miażdżą ich w uściskach swoich, bo wściekają się niekiedy na widok głupoty ludzkiej, która nie zdołała ich ujarzmić i stworzyć warunków szczęścia dla narodu. Przysłuchajcie się tylko ich miarowemu zgrzytowi: usłyszycie tam nieustającą melodyę — hymn na cześć rozumnej pracy, na cześć zdobyczy ducha ludzkiego. Obiecują one posłuszeństwo bez granic, pracę nieustającą, byleby nadszedł pan, który poskromi tę swawolę, ogrodzi ich rusztowaniem, da im słońca i powietrza, przedewszystkiem zaś przykład mądrego gospodarstwa.

Taką jest filozofia Ady Negri. *Fatalita* zwróciły na nią uwagę powszechną: biedną nauczycielkę wiejską powołano do miasta, dano posadę i jednocześnie radę, ażeby śpiewała weselsze piosenki. Ale Negri nie należy do osób, uprawiających nierząd. W *Tempeste* pod wielu względami okazała się jeszcze niepoprawniejszą: „O, świecie mieszczański — zwraca się do publiczności — zręczny i czcigodny, gromadzący złoto i śpiący wygodnie, o świecie dobrze wypasionych plutokratów i zdobnych kokietek, dam histerycznych, chodzących na mszę, ażeby w kościele zobaczyć kochanka, czy chcesz okraść mnie ze światła i ideałów, czy zamierzasz podciąć mi skrzydła? Ty czołgasz się, ja latam w górze, ty ziewasz, ja śpiewam, czarowne dźwięki natchnienia unoszą się dokoła mnie, ty zaś wypoczywasz w błocie!" Odpowiedziano insynuacyami. Wynicowano przeszłość rodziców, oplwano czystą miłość dziecięcia ludu, które dumne chce miłości, lecz nie pętów małżeńskich, spotwarzono jej ideały. A Ada Negri? Są pytania, na które nie odpowiada się.

K. R. Ż.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYA. Pomnikowego wydania *Dzieł wszystkich* J. Kochanowskiego wyszła część pierwsza t. IV (674 str).

— W. Poman „Sonata wiosenna" (13 str.).

— „Dzieł" A. Fredry (wyd. Biegeleisena) wyszły tomy III, IV, V, Lwów, Księgarnia Polska.

POWIEŚĆ W. Sieroszewski „W matni" (296 str.), Gebethner i Wolff.

— S. Kondratowicz: „Fałsze życia" (2 t., 233 i 245 str.), Wizbek.

— W. Feldman: „Anauke," kartki chorej miłości (215 str.). Kraków. Zwoliński.

HISTORYA. H. Wernic „Historya powszechna" t. II — Wieki średnie (212 str.), Paprocki.

HISTORYA LITERATURY. F. Hösick: „Juliusz Słowacki," biografia psychologiczna 3 t., Gebethner i Wolff.

—Acr „Mickiewicz w Odesie" i twórczość jego z tego czasu (97 str.), Warszawa, Rzążewska.

ARCHEOLOGIA. E. Majewski „Drobne prace i notatki z dziedziny archeologii przedhistorycznej i etnografii" (z 66 rysunkami — 128 str.), Wende.

ROLNICTWO. W. Gałecki „O nawozach sztucznych i innych kwestyach będących w związku z nawożeniem roślin" (97 str.).

WETERYNARYA. R. Sobolewski „Podkuwanie koni—oraz leczenie chorób kopyt i racic" (230 str.).

WYDAWNICTWA OBRAZKOWE. K. Woźniak „Kraj w obrazach," zeszyt 3.

PAMIĘTNIKI. Leon Dembowski: „Moje wspomnienia," t. I (384 str.), Petersburg, Grendyszyński.

MONOGRAFIE. „Książka zbiorowa" ku uczczeniu pamięci A. Mickiewicza w stuletnią (?) rocznicę urodzin poety (218 str.), Petersburg, Grendyszyński.

PRASA POLSKA.

Wiek, który w rozważaniu stosunków rosyjsko-polskich, nieschodzących z porządku dziennego prasy obu narodów, okazał ze wszystkich gazet naszych najwięcej rozumu i godności, zajął się tą sprawą w obszernym artykule. Na szczęście nie jest to program, ale głos rozsądku i serca. Oto co pisze w główniejszych ustępach, wykazując nicość i szkodliwość paplaniny petersburskiego *Kraju* i warszawskiego *Słowa:*

„Przedewszystkiem sama nazwa *partyi ugodowej* wydaje nam się nadzwyczaj niefortunnie pomyślaną. Wyraz *ugoda* zawiera w sobie pojęcie jakiegoś aktu prawnego, wzajemnego zobowiązania, kontraktu, w którym obie strony, równie do działań prawnych zdolne, coś sobie ustępują, korzystają lub tracą, za odpowiedniem wynagrodzeniem. Z kimże partya ugodowa ma się godzić, co bierze, a co daje, od kogo i komu? Nielogiczność tej nazwy bije w oczy i trudno od nas wymagać, ażebyśmy na ten błąd zasadniczy ślepotę udawali, tem bardziej, że może on dla społeczeństwa naszego, a raczej dla ludzi bez głębszej rozwagi i krótkowidzów politycznych, sprowadzić tylko szereg rozczarowań i zawodów.

System to najfatalniejszy obudzać płomień imaginacyi i nieusprawiedliwionych nadziei w społeczeństwie. Rozpolitykować ludzi łatwo! — powstrzymać ich na tej drodze trudniej, a już bezwarunkowo niemożliwa byłaby tu rola *sui generis* „straży pożarnej" dla tych, którzy iskry rozdmuchiwali w płomień.

Jeden program jest dla nas trwały: nasz język, wiara i rozwój narodowy i ten tkwi w naszych sercach, w naszej krwi, bo jest on prawem przyrodzonem każdej jednostki, każdego narodu. Prawo do takiego programu przyznać nam musi każdy Rosyanin, choćby był naszym najzaciętszym wrogiem. To są rzeczy niesporne, niezbędne! Czy w tym kierunku możliwe są jakieś ustępstwa?

A właśnie przedstawianie fałszywe kwestyi lub niewłaściwe jej oświetlanie, sprowadza na nas wszystkie te nieszczęsne polemiki z tym odłamem prasy rosyjskiej, istotnie nieprzejednanej, dla której obce są wszelkie humanitarne pojęcia. Ona to dyskutuje programy polityczne *Kraju* i *Słowa*, ona, czepiając się najnielogiczniejszego pojęcia ugody, stawia warunki, zaostrza wymagania i na robotę polityczną—robotą właściwej sobie miary odpowiada. Przy tym ogniu smażą się różne pieczenie, tylko nie praw ogólno ludzkich, nie najświętszych zasad chrystyanizmu i praw przyrodzonych człowieka.

A przecież to takie proste!

Wyznajemy religię naszych ojców, w której urodziliśmy się i wychowali i w której chcemy wychowywać nasze dzieci. Jesteśmy Polakami, bośmy sobie taką narodowość nie z wyboru, ale z wyższego przeznaczenia i prawa natury z sobą na świat przynieśli. Język polski jest naszym językiem narodowym, mówią nim miliony tubylców od wieków, dziecko wita w nim pierwsze pieszczoty matki, starzec żegna życie, stworzenie czci w nim swojego Stwórcę. Ta mowa, to nasz dobytek wieków, to skarb najdroższy, nie narzecze, ale język, który jest taką organiczną częścią istoty, jak krew, oczy, słuch lub powonienie. Czyż możliwem by było zatrzeć w nas pamięć o sławie tego języka, o nieśmiertelnych zasługach jego nietylko dla naszej, ale i ogólnej cywilizacyi?

Czy potworne pojęcie wynarodowienia może się wylęgnąć na dnie najprzewrotniejszej duszy, najzaciętszego naszego wroga? Chyba, że taki współcześnie zrezygnowałby z nazwy człowieka, z wszelkich nabytków ogólno ludzkiej cywilizacyi!

Oto są trzy postulaty niewzruszone, nad którymi wszelka dyskusya jest niemożliwa.

Straciliśmy niepodległość, niezależność państwową, ale nie prawa narodu, bo tych utracić nie można!

Nieuprzedzeni publicyści rosyjscy wysiłki nasze o odzyskanie tej niepodległości, objawione w rewolucyi i powstaniu, uznają za błędy polityczne, które przez czysto ludzką wyrozumiałość tłomaczą jeszcze jako ludzie szlachetni okolicznościami i prądami polityki europejskiej w danej chwili. To były błędy, może i wielkie nawet, ale w każdym razie nie podłość; brak rozsądku praktycznego, ale nie objaw nizkich, nikczemnych instynktów pełzającej gadziny. Naród opłacił te porywy, wywołane po części zewnętrznymi podmuchami, milionem ofiar, wyniszczeniem sił i nieuniknioną represyą.

Czas minął, nowe pokolenia wyrosły.

I oto stoją przy sobie dwa szczepy bratnie, które z różnem szczęściem prowadziły długowieczną walkę, podniecane do niej często obcym wpływem żądnych własnych korzyści sąsiadów. Ci, jak kruki, chciwi żeru patrzeli na pobojowisko.

Jeden z tych ludów obezwładniony, osłabły, do nowych zapasów sił niema. Żyć będzie, bo *naród nie umiera*. Ale warunki tego życia zależą od zwycięzcy, który dzierżąc władzę nad nim, może mu rękę podać, rany jego leczyć, skarbiąc w sercu zobowiązanego szlachetnem i prawdziwie wielkodusznem postępowaniem brata uczucia niewygasłej wdzięczności i przywiązania."

W DALI.

Lublin. *Lub. Gubern. Wied.* podają następujące szczegóły, dotyczące środków oświaty włościan: Celem powiększenia liczby szkół ludowych w pow. Lubelskim i budowy nowych w tych miejscowościach, które mają przeszło 1,000 mieszkańców i przeszło 80 dzieci w wieku szkolnym, a w których dotąd zakładów takich niema, we wrześniu i w sierpniu zwołano zgromadzenia gminne wsi: Niedrzwica Duża, Melgiew, Radowiec i w osadzie Chodel. Na zebraniach owych

postanowiono jednomyślnie we wsiach: Mełgwi, Niedrzwicy Dużej, Radowcu i w osadzie Chodel założyć jednoklasowe szkoły początkowe, oraz wznieść budynki szkolne: w Mełgwi kosztem do 1,200 rs., w innych wsiach do 1,500 rs. Oświadczono przytem, iż mieszkańcy mogą zebrać w drodze składek na wzniesienie budynków szkolnych: w Mełgwi 800 rs., w Niedrzwicy Dużej 750 rs. w Radowcu, oraz w sąsiednich wsiach: Radowczyku Małym i Radowczyku 900, w Chodelu 800 rs. Postanowiono prosić o wypłacenie reszty potrzebnych na budowę funduszów ze skarbu państwa, jako zapomogę jednorazową. Na utrzymanie szkół zgromadzenia postanowiły dać 315 rs., tj. połowę sumy określonej etatami normalnymi i uchwaliły prosić o stałą zapomogę na pokrycie drugiej połowy. Właściciel majątku Mełgiew, p. Antoni Szlubowski, wiedząc, że poruszono projekt budowy szkoły początkowej w Mełgwi i że włościanie nie posiadają gruntu pod budowę, przybył na zgromadzenie i oświadczył osobiście, że natychmiast ofiaruje potrzebny grunt; deklaracyę tę stwierdził w końcu posiedzenia podpisem własnoręcznym

Kalisz. Gmach teatralny, o trzech piętrach, doprowadzono już pod sam dach. Zewnątrz ma być przed zimą zupełnie skończony. Budynek przeznaczony jest na 600 osób, posiadać ma 19 lóż piętrowych, 6 parterowych, parter przeszło na 200 krzeseł, amfiteatr na 200 widzów, scenę dużą i wszelkie najniezbędniejsze udogodnienia. Nie wiadomo jednak, kiedy teatr oddany będzie do użytku publicznego, gdyż na wykończenie zupełne brak środków. Miasto ze swych funduszów dało 30,000 rs. Brak jeszcze najmniej 6,000 rs. Z tego powodu prezydent, p. Grąbczewski, zakrzątał się około zebrania tej sumy za pośrednictwem koncertów i wszelkich zabaw. Między innemi będzie sprowadzoną w tym celu do Kalisza wystawa obrazów z warszawskiego salonu artystycznego.

Łódź. Zarząd chrześciańskiego Towarzystwa dobroczynności postanowił nie wychodzić po za obręb dotychczasowej działalności, lecz poprzestać wyłącznie na rozciąganiu opieki nad ludnością chrześciańską. Postanowienie to powzięto ze względu, że liczba ubogich starozakonnych w porównaniu z chrześciańską jest znacznie większą, jakkolwiek ludność izraelska stanowi ⅓ część ludności m. Łodzi i 2) przyjęcie Żydów w poczet członków chrześciańskiego Towarzystwa dobroczynności jest niemożebne, ponieważ instytucya ta po 20 latach istnienia posiada ruchomy i nieruchomy majątek, oszacowany przeszło na rs. 300,000, do którego mają prawo wyłącznie tylko chrześcianie. Ze względu na to Towarzystwo musiało dać odmowną odpowiedź na podanie gminy izraelskiej. Wyraziło jednak zdanie, iż możliwem byłoby założenie przy niem osobnego oddziału dla Żydów na zasadach ogólnych, tj. ażeby osoby, wnoszące na korzyść wzmiankowanego oddziału określone składki, nie korzystały z praw i przywilejów członków Towarzystwa i ażeby pewna część funduszów oddziału była obracana na niesienie pomocy ubogim chrześcianom, stanowiącym główny zastęp robotników w fabrykach, należących do Żydów. Zaopiekowanie się tymi robotnikami, w razie ich niezdolności do pracy, spoczywa dziś wyłącznie na chrześciańskiem Towarzystwie dobroczynności. — Obok gmachu fabryki „Leonard" powstała szkoła i ochrona dla dzieci robotników. Ze szkoły korzysta obecnie 180 dzieci płci obojej, a w ochronie od godz. 6-ej z rana do 7-ej wieczorem bawią się pod opieką dozorczyni drobne dzieci zajętych przez cały dzień robotników i otrzymują tam całodzienne pożywienie. W osobnym oddziale ochrony spoczywają w kołyskach niemowlęta, zabierane do domów przez matki po ukończeniu zajęć. Ogółem wszystkich dzieci w ochronce jest przeszło 70. Stałej pomocy lekarskiej udziela dziatwie dr. Bekman. Obok gmachu tejże fabryki znajduje się w osobnym budynku kuchnia i sala obiadowa. Z kuchni tej za markami po 5 kop. robotnicy fabryczni otrzymują w południe obiad, składający się z zupy, mięsa i jarzyny. Nadto dostają bezpłatnie wodę gorącą na herbatę, oraz mogą odgrzać na kuchni żelaznej przyniesione z domu pokarmy.— Na mocy rozporządzenia władzy wyższej naczelnik powiatu Łódzkiego wezwał wszystkich wójtów gmin, aby zakładali w miarę potrzeby szkółki wiejskie. Z pomiędzy 20 gmin dotąd założono takie szkółki tylko w gminach: Chojny, Radogoszcz i Górki. Inne oświadczyły, że ilość szkółek jest wystarczająca na potrzeby mieszkańców. W gruncie rzeczy jest to tylko chęć wyłamania się z pod tego rozporządzenia, gdyż w wielu gminach liczba szkółek jest niewystarczająca, w niektórych zaś niema ich wcale.

Wilno. *Kur. Codz.* podaje następującą wiązankę faktów i uwag ciekawych: P. Lipińska, która przed 16 laty pierwsza otworzyła tu zakład rękodzielniczy, dając tem bodziec do rozwoju racyonalnego rzemiosł domowych wśród niewiast i powstawaniu zakładów stosownych, w miesiącu bieżącym rozpoczyna wykłady sztuki kulinarnej (kurs dwumiesięczny). Ogólna stancya dla uczniów, t. zw. konwikt, ogłasza 16 wakansów z funduszów biskupa Pilchowskiego, Korsaka i kilku innych. Należałoby peryodycznie ogłaszać, ile i komu dostaje się zasiłków z tego źródła, gdyż publiczność wcale, i to oddawna, nic wie o stanie tych bogatych legatów i sposobach ich podziału pośród naszej młodzieży. O funduszach i stypendyach okręgu wileńskiego wydał przed kilkunastu laty dziełko dyrektor gimnazyum I-go s. p. Junicki. Prawo na pomieszczenie w konwikcie mają wychowańcy obu gimnazyów i szkoły realnej. Świeżo powstała tu nowa szkoła prywatna, przysposabiająca chłopców do średnich zakładów naukowych. Wiele się zasłużyła miastu pod tym względem szkoła pp. Cebrowskich.

KRONIKA.

O czystość języka. Jakkolwiek i w naszem piśmie znaleźć się mogą czasem wyrazy i zwroty nieodpowiadające najsurowszym wymaganiom i prawom języka polskiego, trzeba jednak posiadać spory zapas lekkomyślnej i napastniczej odwagi, ażeby oskarżeniem o takie winy obciążać szczególnie *Prawdę*, która swą dbałość pod tym względem posunęła do najdalszych granic możliwości i od czasu swego istnienia przez żadne wydawnictwo w naszej prasie przewyższoną nie była. Tymczasem o wawrzyny te pokusił się p. Post w *Gazecie Polskiej*. Zapytany o dowody swego ogólnikowego zarzutu, wziął „pierwszy lepszy numer *Prawdy*" i znalazł w nim: „rękawa" zamiast „rękawy" i „trzępki" zamiast „strzępki." Chociaż poświęcanie drukarni na ofiarę za grzechy redakcyi przestało już budzić wiarę, sądzimy, iż czytelnik uzna za dość prawdopodobny wypadek, że dwa te wyrazy uległy literowemu skażeniu skutkiem omyłki zecerskiej i że my umiemy odmieniać przez przypadki „rękaw," oraz pisać „strzępki." Do ostatniego wyrazu p. Post przyczepia nam rosyjskie „triapki," ale ten koncept przydać się może tylko na poparcie przysłowia „wlazł na gruszkę, siał pietruszkę," gdyż „triapki" znaczy: ściorki, gałgany. Nawiasem dodamy, że owym „pierwszym lepszym numerem," który odrazu znalazł się pod ręką p. P., był nr. 23 — z d. 5 czerwca. Nie poprzestając wszakże na odległej przeszłości, krytyk sięgnął do bliższej i z numeru z przed 6 tygodni wydobył „dary" zamiast sakramentów i „nastrój oliwny." W tych dwu wyrazach mamy dwie zagadki: 1) dlaczego nie można użyć „dary„ zamiast sakramentów, a 2) nadewszystko, jak miał inaczej przełożyć nasz tłomacz wyrażenie autora oryginału, podane w cudzysłowie, *masłowoje nastrojenie* (dla oznaczenia łagodności)? Wolno pisać po polsku *findesieclizm*, ale nie wolno odtwarzać dosłownie charakterystycznego wyrażenia „nastrój oliwny"?

Tego żąda i takie źdźbła w oku naszem wynajduje krytyk gazety, w której oczach tego samego numeru sterczą dumnie takie belki: zakwalifikowany, sensacya, akolici, omówienie kwestyi, rozpatrzenie kwestyi, skonstatowanie, aktualność, prowizoryczny, korupcya, Kraj Zachodni, ludność... nie wybrali radców itd. itd. Zaiste w tak porządnym, czysto polskim domu jego mieszkaniec ma słuszny powód być „smutnym," tylko nie ma prawa wydziwiać cudzym.

Kursy Baranieckiego w Krakowie, według nadesłanego nam sprostowania, pozostają niezmienione.

Wiadomości społeczne. Główny zarząd poczt postanowił przyjmować do biur telegrafu rządowego 75% kobiet w stosunku do ogółu urzędników. Nadto, kobiety mają być wkrótce dopuszczone do biur pocztowych. Podajemy tę wiadomość na odpowiedzialność *Syna Ojcz.*

— We Lwowie uchwalono wznieść pomnik dla Ujejskiego.

— W Petersburgu zawiązało się kółko młodych uczonych, w celu wygłaszania odczytów popularnych z dziedziny nauk handlowych. Każdy przedmiot zawarty będzie w 10—20 wykładach. Tematy: ekonomia polityczna, prawa: finansowe, handlowe, wekslowe, morskie; geografia handlowa, statystyka, ubezpieczenia i banki.

— Reforma ziemska w kraju zachodnim stanowczo jest już uchwalona; nie będzie wszakże urzeczywistniona przed r. 1899. Władze ciągle gromadzą materyały statystyczne.

— Cykliści w Warszawie urządzili wielką zabawę („Jarmark") na dochód Pogotowia ratunkowego.

— *Warsz. Dniewn.* pisze: „W pierwszej połowie września (st. st.) robotnicy kopalni Huta Bankowa we wsi Dąbrowa, pow. Będzińskiego, gub. Piotrkowskiej, zaczęli wyrażać niezadowolenie z powodu istniejących w tej kopalni urządzeń i wystosowywali do zwierzchności kopalni żądania, których jednak nie można było zaspokoić. Z powodu wykrytego w tej sprawie podżegania ze strony osób źle myślących, siedmiu zauważonych przez policyę podżegaczy aresztowano w dniu 27 września. Nazajutrz około południa wszyscy robotnicy w liczbie około 3,500 odrazu zawiesili robotę, pozostawiając otwarte krany pieców. Zgromadziwszy się tłumnie dokoła kantoru, zażądali wyjścia dyrektora kopalni, grożąc czynami samowładnymi, że pozostaną tam do wieczora, bez względu na rozkaz policyi, ażeby się rozeszli. W dniu następnym tłum wtargnął do kopalni i wywołał tam zaburzenia, żądając uwolnienia aresztowanych siedmiu ludzi. Tłum burzycieli usunęły z kopalni wezwane do Dąbrowy dwie roty 7-go pułku strzelców, którym polecono przestrzegać porządku. Dnia 30 września kilkotysięczny tłum próżnujących robotników i innych osób od rana zajął przyległe do kopalni ulice, nie słuchając rozkazu, aby się rozeszli i nie dopuszczając do pracy tych robotników, którzy zamierzyli znowu do roboty przystąpić. Do Dąbrowy wezwano jeszcze dwie roty 7 go pułku strzelców. Robotnikom odczytano obwieszczenie kopalni w przedmiocie uwolnienia ich od zajęć i następnie oznajmiono im, że wszyscy z pośród nich, których kopalnia uwolniła, a którzy nowego zajęcia dla siebie nie znaleźli, mają być odesłani do miejsc stałego swego zamieszkania. Tłum nie rozchodził się. Wtedy dowodzącemu czterema wymienionemi rotami wojska polecono rozpędzić robotników przemocą. W niektórych miejscowościach udało się wykonać to bez uciekania się do środków ostatecznych. Ale w jednem miejscu tłum sam począł cisnąć się na pół roty i na trzykrotną zapowiedź jej dowódcy, że wyda rozkaz strzelania, odpowiedział śmiechem i rzucaniem kamieniami. Wówczas żołnierzom rozkazano dać ognia. Wystrzały zraniły siedmiu ludzi, z których dwaj zmarli w ciągu doby. Nadto jednego robotnika zraniono kolbą. Potem najbliżej kopalni położone ulice opróżniono. Noc i dzień następny przeszły spokojnie. Dnia 2 października część robotników powróciła do pracy w kopalni."

— **Dzienniki amerykańskie piszą:** „Dnia 1 września strejkujący Polacy górnicy w Lattimer (stan Pensylwania) urządzili pochód z Hazleton w kierunku kopalni Lattimer. W połowie drogi zaczajeni szeryfi z Martinem na czele obstąpili dokoła górników i kazali im się rozejść, poczem odczytali nakaz piśmienny. Polacy, których większość nie znała języka angielskiego i którzy uważali, że pochód na drodze publicznej nie może być prawnie wzbroniony, nie usłuchali nakazu. Rozległa się komenda,

buknęły strzały: zabito 21 i raniono ciężko 38. Polacy poddani austryaccy, otrzymawszy z Pensylwanii wiadomość o tem morderstwie, postanowili zawiadomić o niem prezesa ministrów w Austryi, Kazimierza hrabiego Badeniego. W tym celu specyalny komitet ułożył telegram, który podpisali trzej poddani austryaccy. Depeszę tę powtórzyły wszystkie pisma angielskie w Chicago oraz całych Stanach Zjednoczonych, opatrzywszy ją w stosowne komentarze. W Hazleton, na Donegal Hill, w sobotę odbył się wielki mityng, w którym wzięło udział przeszło 4,000 osób. Przemawiali: po polsku ks. Aust, po litewsku ks. Marlizzins, po słowacku ks. Ikasb i Houser, po angielsku adwokat Jan Shea, Jan Fahey i Jan Nemeth. Uchwalono pociągnąć do odpowiedzialności sądowej sprawców mordu. W Chicago odbyło się kilkanaście mityngów w różnych polskich dzielnicach miasta."

Szkoły. Ministeryum skarbu zwróciło uwagę na potrzebę szkół handlowych, między innemi w Zgierzu, Łodzi i Pabjanicach.

— W gub. Chersońskiej powstaje szkoła rolnicza dla Żydów. Na ten cel kapitaliści współwyznawcy ofiarowali 25,000 rs. Departament dóbr państwa przeznaczył bezpłatnie 200 dzies. gruntu.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, że jeżeli uczeń, zdający egzamin dojrzałości, za ćwiczenie piśmienne z języka rosyjskiego, zadawalające pod względem treści, otrzyma stopień niższy o 3, z powodu omyłek ortograficznych, to kwestya dopuszczenia go do egzaminów ustnych powinna być rozstrzygnięta nie na podstawie tego stopnia, lecz na zasadzie postępów całorocznych.

Konkursy. „Lutnia" warszawska rozstrzygnęła swój konkurs. W dziale utworów na głosy męzkie nie przyznano nagrody nikomu, wyróżniono zaś pieśń „Oj, rozżaliła się gwiazdka." Nagrodę w kwocie rs. 50 przyznano p. Stanisławowi Kuczkiewiczowi ze Lwowa za utwór p. t. „Astra" (kwartet *a capella* na głosy mieszane). Nadto wyróżniono kompozycye innych: „Dola" (godło „Medis") i „Nieusłuchana" (godło „Melos" 107).

— *Gaz. Cukrownicza* ogłosiła drugi konkurs z nagrodą rs. 300 za najlepszą pracę, wydrukowaną w tem piśmie w ciągu r. 1897—98, a traktującą o dwunastu przedmiotach specyalnych.

Zdrowie publiczne. Towarzystwo walki z chorobami urządza oddziały w Warszawie, Mińsku i innych miastach. Ma ono na celu przeciwdziałanie chorobom epidemicznym, przedsiębranie środków zaradczych przeciwko rozszerzaniu się choroby, w razie jej ujawnienia, rozpowszechnianie wiadomości hygienicznych śród mas ludności i zwalczanie syfilisu.

Zmarli. Leopold Auerbach, profesor fizyologii w uniwersytecie wrocławskim. Zasłużył się w medycynie odkryciem głównego splotu nerwów jelitowych. Nadto znane są jego prace z dziedziny anatomii mikroskopowej oraz studya nad rozwojem zapłodnionych jajek zwierzęcych.

Odpowiedzi Redakcyi.

J. Ł. w Krakowie. Wiersz Pański jest niejasny w treści, wadliwy w formie i nie zdradza talentu.

Student Uniwersytetu poszukuje lekcyj lub korepetycyj. Wiadomość w Administracyi *Prawdy.*

Tom II-gi PISM *Aleksandra Świętochowskiego* wyszedł i zawiera:
Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.
Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu.
Cena rs. 1 k. 20; przesyłka pocztowa kop. 15.

OGŁOSZENIA.

Wyszła z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach
Rozprawa p. t.:
Poeta jako człowiek pierwotny
przez
Aleksandra Świętochowskiego.
Wydanie wytworne na papierze welinowym, str. 52. Cena **rubli trzy**, na przesyłkę kop. 15.
Skład główny w Administracyi „Prawdy."

Spółka Nakładowa

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześciu portretami, str. 541 — rs. 2.

Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

A. Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.

— Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.
Biuro i ekaped. Spółki Nakładowej: Warszawa, Nowogrodzka 39.

Wydawnictwa „Prawdy."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.,** tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika,** tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3. *Uwaga.* Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.

E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

Dr. Azam **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.

N. Hirszband. **Byron w urywkach,** kop. 50.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.

K. Lewald. **Historya XIX w.,** od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej,** tomów dwa—rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Staraniem **Spółki Nakładowej** wyszedł z druku:
Henryka Heinego
WYBÓR PISM
tom III-ci i zawiera:
Księgę Le Grand oraz **Noce florenckie,**
w przekładzie
Maryi Konopnickiej.
Cena rubel jeden, na przesyłkę kop. 15.

Nakładem „Prawdy" wyszła
PSYCHOLOGIA DZIECKA
Dr. Med. L Wolberga,
Cena rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 20. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Сентября 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.